Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1891. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Ciąg dalszy).

Cały trzeci dzień pobytu w Goonie u pułkownika Gerarda, 7. marca, spędził podróżnik nasz od wschodu do zachodu słońca w dżunglach.

„O świcie — opowiada — pojechałem konno z Mahmud Khanem na podjazd, na kranice dżungli, gdzie miejscowość więcej równa i otwarta, wysoką trawą pokryta, dokąd zwierzyna rankami za żerem wychodzi. Słońce, jak czerwona kula ognista, wychylało się z za horyzontu, gdyśmy ujrzeli pierwsze sztuki pasących się gazeli *(Gazella Benetti)* i t. zw. centkowanych jeleni *(Axis maculata)*. Te ostatnie, śliczne zwierzęta, wielkości danieli, z blado-żółtemi centkami na rudem tle, o rogach, jak nasze jelenie. Zwierzęta te tak są ostrożne i ciągłem polowaniem płoszone, że się na możliwą odległość absolutnie nie dadzą podejść; podczas całego mego pobytu ani razu do strzału do nich nie przyszedłem.

Formalny „pech“ miałem tego ranka.

Zaraz z początku postrzeliłem koziołka gazellę w zadni bieg, żwawo jednak poszedł po strzale i zmięszał się z uciekającem stadem, tak, że nie warto było go szukać. Jadąc dalej nad brzegiem strumyczka, ujrzeliśmy o kilkaset kroków na przeciwległym brzegu stadko nilgajów *(Portax pictus)*. Ogromne te zwierzęta, jak koń 14 miary, do łosia podobne, pasły się spokojnie w wysokiej trawie: zsiadłem z konia i obok niego postępując, starałem się podkraść na strzał. Zauważyły jednak niebezpieczeństwo i zwolna zaczęły uchodzić. Chciałem szybko na konia wskoczyć, by im drogę zabiedz, gdy moja szkapa zlękła się czegoś i nim zdołałem się na siodle, ze strzelbą i odwiedzionemi na oba spusty kurkami, usadowić, pomknęła cwałem w przeciwną stronę; ja zaś, straciwszy równowagę w raptownym obrocie, znalazłem się w niemiłem bezpośredniem zetknięciu z matką ziemią, kamienistą w tem miejscu. Potłukłem się fatalnie w bok i w rękę, w której strzelbę trzymałem, koń uciekł i zamiast nilgaja, trzeba było jego podchodzić i łapać. Nareszcie znalazłem się znowu na siodle i ruszyliśmy galopem, w kierunku, w którym nilgaje były uszły. Zoczyliśmy je niebawem; na stoku małego wzgórka, stały kupką, ostrożnie się rozglądając. Nie śmiałem bliżej podjeżdżać, zeskoczyłem z konia i na jakie 200 kroków, wybrawszy największą sztukę, posłałem jej kulę z ekspresa. Padła w ogniu jak piorunem rażona. Otworzywszy strzelbę, biegłem uradowany, by piękną zdobycz obejrzeć, gdy mój nilgaj wstał na równe nogi, pomknął za uciekającem w nieładzie stadem i nim zdołałem strzelbę zamknąć i strzelić, znikł mi za stokiem pagórka. Farby nie było można odnaleść: przeszukaliśmy wzdłuż i wszerz miejscowość, przepadł bez śladu*). Miałem przy

*) W dwa dni potem, znaleziono go nieżywego o kilkaset kroków od strzału, zjedzonego już przez szakale. Rogi i czaszkę zabrałem.

tem zdarzeniu i później nieraz sposobność przekonania się, że w tutejszych dżunglach prawie każdy postrzałek uchodzi. Szukanie w ciemnych gąszczach i na skalistym gruncie nader trudne i zwykle bezskuteczne, tem bardziej, że w słonecznym skwarze, rana szybko zasycha i farby nie puszcza. Wystarczy, by zwierz, chociażby śmiertelnie ranny, paręset kroków od miejsca strzału uszedł, by go nie znaleść, chyba wróciwszy nazajutrz, po sępach krążących znajdziesz miejsce, gdzie leżą niedojedzone przez hyeny i szakale resztki postrzałka. Utrudnia to ogromnie polowanie a raczej wpływa ujemnie na jego rezultat. Ze smutną miną i potłuczonym bokiem podążyłem do naznaczonego miejsca, gdzie mię Gerard oczekiwał i skąd mieliśmy polowanie z naganką rozpocząć. Pani Gerard też przybyła ze swemi pieskami. W rozpiętym namiocie spożyliśmy śniadanie i przed południem rozpoczęli polowanie. Mioty ciągnęły się wzdłuż rzeczki Negri zwanej. Z naszych stanowisk mieliśmy najśliczniejszy widok, jaki sobie wystawić można. Setki rozmaitych ptaków ożywiało rzeczkę i jej brzegi. Cudnie upierzone kaczki bramińskie *(Casarca rutila)*, kormorany, czajki, czaple o płaskich dziobach, białe jak śnieg ogromne żórawie z czerwonemi głowami *(Grus virgo i Grus antigona)*, miały tu swe mieszkania. Zwierza też mnóstwo nad rzeczką; między innemi widziałem w jednym z miotów, po raz pierwszy 4 łanie indyjskiego jelenia zwanego Samburem *(Rusa Aristotelis)*, wysoko przez myśliwych cenionej zwierzyny. Piękna para rogów tego jelenia, do najpiękniejszych myśliwskich trofeów należy. Do łań naturalnie nie strzelałem, jak wogóle do niczego, gdyż w każdym miocie, w oczekiwaniu pantery, pierwszy strzał do niej był zastrzeżony. Tej zaś, jakby na złość ani śladu. Cały urok indyjskiego polowania leży w tej niesłychanej rozmaitości i ilości zwierza, jaką się na każdym kroku spotyka. Na jednem stanowisku widzi się nieraz trzy lub cztery gatunki cerwidów, hyeny, wilki, dziki, lisy, nie mówiąc już o tem, że się w każdym miocie pantery, nawet tygrysa spodziewać można. A ptastwa co za rozmaitość! Z ornitologią w ręku, trzebaby przestudyować całą faunę ptasią podzwrotnikowych stref, by prócz gatunków wodnego ptastwa wyliczyć wszystkie okazy kuropatw, frankolinów, pawi, gołębi, papug i t. d. przeciągających w każdym niemal miocie nad głową myśliwego. W tem właśnie dżungle są niezrównane, że miłośnik przyrody odnajduje w nich bogate skarby, a myśliwy znudzić się nie może.

Ilość zwierza w okolicach Goony tem bardziej zdumiewa, że tu cały krągły rok polują. Od oficera do prostego żołnierza, co tylko w pułku żyje i strzelbę nosi, po dżunglach się ugania, strzelając wszystko, co pod lufę popadnie, od gołębia do tygrysa. To jest powodem, że zwierz taki ostrożny i mimo ilości, jaką się widzi, niełatwo go dostać.

Naganka nie chodzi jak u nas, równo i porządnie. Zajmowane ostępy duże, niezrównanej konfiguracyi, teren skalisty, wertepami przecięty, utrudnia chód naganki, do tego ludzie, z obawy przed tygrysem lub panterą, w kupki się zbijają, ciemne gąszcze ostrożnie wymijając, za lada szelestem wyłażą na drzewa i tracąc linią porządkową, nieraz wychodzą z innej strony niż stoją myśliwi. Dziwić im się nie można: nadzy i bezbronni, z kijem w ręku, pierwsi wystawieni są na napad dzikiego zwierza, gdy ten postrzelony w tył się rzuca. Rzadko też mija sezon polowania, by kilku naganiaczy ofiarą nie padło. Istnieją w tym celu ostre reguły dla myśliwych, którzy po strzale do tygrysa lub pantery, obowiązani są dać świstawką umówiony sygnał, dla ostrzeżenia naganki, co się ze zwierzem stało. Jak ci ludzie wogóle boso i bez ubrania są w stanie chodzić po tych gąszczach, jest to dla mnie prawdziwą zagadką. Nietylko każdy krzak, lecz każda roślina, drzewo, trawa niemal ma długie kolce i ostre jak brzytwa końce. Po kilku dnich chodzenia w dżunglach miałem twarz i ręce we krwi a ubranie podarte w łachmany.

W ostatnim miocie potężne stado nilgajów przebiło linią naganki i niestrzelane w tył uszło. Ziemia dudniała od ich galopu, jakby pułk kawaleryi gdzie pędził. Wolno już było strzelać do wszystkiego. Pułkownik ubił dzika odyńca, ja z „Colindiana“ spuściłem kilka kaczek bramińskich i frankolina. Bramińskie kaczki, najpiękniejsze jakie w życiu widziałem, białe z czerwonemi łbami, z wierzchu ceglaste. Niestety, nie ma tu nikogo, ktoby z ptaka umiał skórkę ściągnąć i należycie spreparować“.

Dzień 8. marca był niedzielą, spędzono go więc na odpoczynku, pisaniu listów, fotografowaniu, a popołudniu na popisie pułku Gerardowskiego. Gdy zaś wieczorem dano znać, że wół wystawiony na przynętę o 15 mil od Goony został zagryziony, a wielkość rany w karku wskazuje na tygrysa, urządzono d. 9. wyprawę, którą tak hr. Potocki opisuje:

„O dziewiątej rano staliśmy już na stanowisku, przebywszy jednym galopem 15 mil angielskich, dzielących tę miejscowość od Goony. Gerard ma zwyczaj, gdy mu konia przed ganek przyprowadzą, cwałem z domu ruszać i nie pytając o dystans ani teren, jednym równym galopem całą drogę odbywać. Nie ma czasu do stracenia, chcąc za nim zdążyć, trzymać się zaś trzeba blisko, bo wobec mylnej drogi i falistego terenu, łatwo można się zgubić. Ma pięć dzielnych arabczyków, do skalistego gruntu przyzwyczajonych, które z zadziwiającą zręcznością po trudnym terenie galopują.

Źle mówię, żeśmy „stali na stanowiskach“, siedzieliśmy raczej w konarach jakichś niskich drzew egzotycznych; przed nami gąszcz, na lewo nad strumykiem niedojedzone szczątki wołu, zdają się potwierdzać bytność w miocie zabójcy, prawdopodobnie pantery, która według zapewnień miejscowych ludzi w skalistych jaskiniach, w środku miotu się znajdujących, po sutej uczcie zaledz musiała.

Puszczono pieski pułkownika, kilkanaście małych *foxterrierów;* psy te są o tyle przydatne, że każdego zwierza, na którego natrafią, tygrysa nie wyjmując, odważnie atakują, tak są przytem zręczne i rozumne, że zawsze daleko od jego pazurów się trzymać umieją, głośnem szczekaniem wskazując, gdzie się zwierz obraca. Pomoc w tem wielka dla naganki, która w razie podejścia zwierza do jej linii, ostrzeżona głosem psów, ma zawsze czas na drzewo się schronić. Ledwo się miot rozpoczął, usłyszałem przed sobą zawzięte ujadanie całej psiarni; przeszedł kawał czasu, nic jednak nie wychodziło. Psy ciągle na jednem miejscu ujadały. „Pantera pewno w jaskini“ — pomyślałem sobie. Pułkownik zeskoczył z drzewa, my za nim i puściliśmy się w miot, przedzierając przez kolczyste zarośla i krzaki. Po chwili znaleźliśmy się na szczycie pagórka: ogromne bloki kamienne wytworzyły tu jakby równą terasę, pod nią czerniał otwór jaskini, przed którą psy rwały jakieś niewielkie zwierzątko. Była to młoda hyena, którą matka, za nadejściem psów, sama zmykając, tymże na pastwę zostawiła. Pantery ani śladu. Po drodze do dalszych miotów, psy, buszując po dżungli, wpadły na indyjskiego kota dzikiego *(Felis viverrina)*, i zapędziwszy go do jaskini, walną bitwę z nim stoczyły. Ciasny otwór jaskini nie dozwalał dojrzeć przebiegu zaciętej walki: hałas, wrzask, pisk, skomlenie —

echem się rozlegało po skałach. Dzielny kocur byłby się może zwycięsko z tej imprezy wywinął i mimo nierównej walki, bo piesków było dużo, z życiem cało uszedł, gdyby nie tyczki i kije dojeżdżaczy, którzy dobiwszy go, martwego z jaskini wyciągnęli. Zapamiętale się musiał bronić, jak świadczyły porozdzierane i krwią oblane fizyonomie naszych fox-terrierów. Felis viverrina, żbik indyjski, do naszego żbika budową ciała podobny, jest od niego nieco mniejszy, na niższych nogach i słabszy w ciele. Futerko ma miękkie, popielate, gęsto czarnemi centkami nakrapiane. Żyje pospolicie w całych Indyach, przeważnie w miejscowościach skalistych, których jaskinie dają mu ulubione schronisko.

W drugim miocie, ledwo zajęliśmy stanowiska, przybiegł zdyszany Hindus, głęboko widocznie wzruszony i żywo gestykulując opowiedział Gerardowi, że zachodząc z obławą do miotu, widział na parę kroków przed sobą przemykającego na trawie tygrysa. „Może to była pantera“ — dodał. Dla Hindusa każdy zwierz z daleka, czy hyena, czy niedźwiedź, wszystko jest tygrysem. Tak się panicznie boją tego zwierza, że ich oczy wszędzie widzą tygrysa. Bądźcobądź, widział coś nakształt tygrysa, uchodzącego w kierunku gęstej kniei na przeciwległym pagórku. Pułkownik szybko ludzi ściągnął, wskazał w jakim kierunku pagórek gonić, a nas rozstawił pod stromą, skalistą ścianą, gdzie zwierz miał wagę do pobliskiego gąszczu. Mnie postawił obok siebie. Miot się rozpoczął, ludzie się zbliżali, gdy ujrzałem, jak Gerard się złożył, długo wytrzymał i strzelił Gąszcz i trawa zakrywały mi widok zupełnie, doleciał mię tylko krótki, urwany ryk, i trzask gałęzi przedemną wskazał, że zwierz do miotu powrócił. Jakoż rozległ się głos świstawki, umówiony sygnał, że pantera postrzelona w tył się cofnęła. Zeskoczyliśmy z drzew i pobiegli do Gerarda. W podobnej chwili zawsze jest nieco zamięszania, nim się ludzie zejdą, psy odnajdą i dalszy plan działania ułoży. Jasna smuga farby w miejscu strzału wskazywała, że pantera ciężko strzelona. Psy podprowadzono na trop, tak były jednak zziajane i gorącem zbite, że tropu nawet podjąć nie chciały, trzeba było zatem iść bez ich pomocy. Ustawiliśmy się linią, każdy myśliwy mając po dwóch żołnierzy z dzidami u boku. Krok za krokiem, ostrożnie, gotowi do strzału, z palcem na cynglu, darliśmy się przez krzaki.

Kto sam nie doświadczył, nie uwierzy zapewne, że iść za postrzeloną panterą, inną sprawia emocyą, niż za dzikiem lub jeleniem. Co krok i co chwila niemal, człowiek spodziewa się napadu zwierza, a gąszcz tak ciemny, że nim pomyśli o strzale, może już być w zębach pantery. Żołnierze ciskają kamieniami przed sobą, i o ile możności drogę torują; ja sam trzymam się Gerarda i mam sposobność przyjrzenia się, jak ten stary i doświadczony myśliwy, ostrożnie, krok za krokiem postępuje.

Dochodzimy do linii naganki. Pocieszny widok Hindusów, którzy na głos świstawki w mig na drzewa powyłazili, i jak małpy pomiędzy konarami siedzą. Wtem jeden z nich wskazał ręką w kierunku kilku fantastycznie, jeden na drugim piętrzących się głazów granitu. W tejże chwili na 5 kroków przed sobą za blokiem kamiennym usłyszałem głośne mruknięcie. „Look out!“ krzyknął pułkownik. Złożyłem się w mgnieniu oka, lecz pantera zakryta skałą, ruszyła naprzód i znikła w gąszczu. Musiała być ciężko ranną, i nie czując się w sile podjęcia walki, uszła przed nami. Puściliśmy się za nią, na oko niemal, dopadła jednak labiryntu skał, kamieni i jaskiń. Straciliśmy farbę i musieliśmy od dalszego szukania odstąpić, tem więcej, że słońce miało się ku zachodowi i zaczęło się nieznacznie ściemniać. Raniony zwierz ukrył się w jaskini, jest zatem wszelkie prawdopodobieństwo, że go jutro odnajdą. Noc już ciemna była, gdyśmy wrócili do domu z próżnemi co prawda rękoma, lecz, co do mnie przynajmniej, z wrażeniem nowego epizodu w myśliwskiem mem życiu.

10 marca. Żołnierze do dnia z psami poszli za panterą; pułkownik miał wojskowe zajęcia, nam zaś zeszedł czas na przygotowaniach do wycieczki obozem, na którą jutro mamy wyruszyć. Pułkownik niestety z nami nie jedzie, towarzyszy mi natomiast jeden z oficerów jego pułku, rotmistrz Grant, dobry myśliwy, znający miejscowość i ludzi; bardzo mi na rękę mieć go ze sobą, gdyż nie znając krajowego języka, nie zdołałbym sobie z ludźmi dać rady. Gerard pożycza namioty, pozostaje mi nająć konie wierzchowe, bryki, ludzi, kupić prowizye i t. d. Na szczęście w oficerskim klubie wszystkiego dostanie.

Pod wieczór w tryumfie przynoszą panterę. Zapomocą psów, odszukali ją w jednej z jaskiń blisko miejsca, gdzieśmy ją wczoraj porzucili; znaleźli ją dogorywającą i łatwo dobili. Śliczna sztuka, choć nie z największych, mierzy 6’6’’ od końca ogona do głowy, zwykły to bowiem sposób mierzenia tygrysa i pantery. Te ostatnie nadzwyczaj są co do wielkości nierówne: samice zwykle mniejsze, niektóre sztuki mało co większe od naszego rysia, natomiast wyrośnięty kocur nieraz wielkości małego tygrysa dochodzi. W kolorze sierści i wielkości centek również znaczne bywają różnice i jedna skóra do drugiej nieraz zupełnie niepodobna. Na tej różnicy wzrostu i na odmianach koloru sierści fundują niektórzy przyrodnicy i myśliwi twierdzenie, że w Indyach jest kilka gatunków felidów, które zazwyczaj jednem mianem: „pantera“ (Felis pardus) obejmują, i że lampart mianowicie stanowi odrębny od pantery gatunek. Większość zaś przyrodników jest zdania, że w Indyach pomiędzy panterami, „rodzaj“ (genus) jest jeden, kilka natomiast istnieje „odmian“ (varietas) i co do mnie, sądziłbym, że ci ostatni mają słuszność; wzmiankowane różnice bowiem tyczą się jedynie wzrostu i odmian sierści, nie są zaś zasadnicze co do budowy ciała i ubarwienia. Między naszymi niedźwiedziami naprzykład, żaden osobnik niemal do drugiego niepodobny, chociaż do jednego gatunku należą. Jedynie tak zwany po angielsku „hunting leopard“ (Felis jubata) i „snow-leopard“ (Felis uncia), stanowią odrębne od pantery gatunki. O pierwszym, tak zwanym lamparcie myśliwskim, będę miał później sposobność dłużej wspomnieć; drugi zaś, śnieżny lampart, zamieszkujący tylko szczyty Himalajów, nader jest rzadki, i skóra jego wysoce cenna. Widziałem jej jeden okaz w Dardżilingu u p. Möwisa, który 500 rupii (około 1000 fr.) za nią żądał“.

C. d. n.



Z BIAŁOWIESKIEJ PUSZCZY.

Wedle relacyi podróżnej F. C. Kellera.

Był to piękny, słoneczny dzień sierpniowy, gdym w towarzystwie wyższego urzędnika rosyjskiego przebywał szeroko otwartą stepową okolicę. Nad nieprzejrzanem morzem wrzosów i janowców falowało i wibrowało rozgrzane powietrze. Nasze trzy koniki, zaprzągnięte w porącz, kłusowały szybko, a wózek, tocząc się po nierównej drodze, przechylał się i podskakiwał tak, że nieraz myśleliśmy, iż znajdziemy się nagle na ziemi. Woźnica nasz nie liczył się z tem wcale, że mogą być pasażerowie o kruchych kościach — jemu chodziło o to, żeby jechać jak najprędzej — że zaś w miejscowościach, któreśmy przebywali, dobra droga należała jeszcze do nieznanego zbytku, więc wózek toczył się przez dziury, niskie krzewy i głębokie piaski jak na złamanie karku. Małe, chude i niemal że kudłate szkapki okazywały taki temperament i wytrwałość, jakiej nikt w nich na oko przypuszczać nie mógł. Więc już nie kłusem, lecz w szalonym galopie pędziliśmy ku naszemu celowi.

Po kilkogodzinnej jeździe ukazały się nareszcie niewyraźne zarysy wielkiego leśnego kompleksu, które z prawdziwą radością powitałem — nietylko dlatego, że tam skończy się ta trzęsąca jazda, lecz, żem się zbliżał do celu mych marzeń. Te ciemne zarysy borów, które się ukazały na widnokręgu stepowej okolicy, to odległy widok Białowieskiej puszczy, ojczyzny żubra, tego potężnego źwierza, który oprócz niektórych miejscowości Kaukazu, już tylko tę puszczę zamieszkuje. Czujność rządu zabezpieczyła go tutaj od wyniszczenia, a przynajmniej odracza chwilę zupełnego zniknięcia tego zwierza.

Dawniej przebywał żubr we wszystkich wielkich kniejach wschodniej Europy, pojawiał się w znaczniejszej liczbie w Prusach północnych i wschodnich, w niektórych okolicach Saksonii, w kniejach Harcu. W Prusach wschodnich miał ostatni żubr paść w r. 1755 od morderczej kuli kłusownika. W krajach korony św. Szczepana, w tamtejszych kniejach rozległych, utrzymywał się żubr najdłużej; głowa jego pojawia się też w herbie niejednej z rodzin tamtejszych. W Siedmiogrodzie był nawet licznym, a łowy na żubra stanowiły tam długi czas pole do popisów męstwa i zręczności myśliwskiej. Do początków zeszłego stulecia przebywał żubr w większych puszczach leśnych Węgier, a z końcem zeszłego wieku pojawiał się jeszcze w górskich kniejach Siedmiogrodu. Kiedy zaś padł tam ostatni potomek tego rodu i z czyjej ręki — nie wiadomo. (Ostatni miał paść na Borgojskim Płaju, d. 8. października 1762. — Przyp. red.).

Obecnie, oprócz Białowieskiej puszczy, żyje żubr w stanie dzikim tylko na Kaukazie, w kniejach między Kubanem a Terekiem.

W najnowszych czasach usiłował zasłużony około spraw łowieckich, książę Pszczyński (Pszczyn, Pless na Szląsku pruskim) zaprowadzić żubry w rozległych swych kniejach, a usiłowania te zdają się być uwieńczone pożądanym skutkiem, gdyż od czasu do czasu zaczyna być żubr wymieniany między ubijanymi tam zwierzętami łownymi.

W Białowieskiej puszczy strzeżoną jest kolonia żubrów z nadzwyczajną troskliwością. Rzadko kiedy pada jakiś byk od strzału, równie rzadko chwytanym bywa, jako bardzo wyjątkowy dar dla tego lub owego ogrodu zoologicznego. Jeden z ostatnich, kolos swojego rodzaju, przesłany był żywcem do Moskwy.

Przed kilkunastu laty liczono jeszcze stan żubrów w Białowieskiej puszczy na 1000 sztuk, lecz w ostatnich czasach zdziesiątkowała je jakaś zaraza, tak, że je obecnie tylko na 450 sztuk obliczają. (Najnowsze relacye mówią już tylko o 353 żubrach w Białowieskiej puszczy. Przyp. red.). Pomimo licznej straży i bardzo surowych kar za ukradkowe polowanie na żubra, a nawet za niepokojenie jego ostoi, stan tego zwierza w Białowieskiej puszczy zmniejsza się widocznie.

Ja sam uzyskałem pozwolenie zaglądnięcia do wnętrza puszczy tylko dzięki protekcyi wysoko położonego dygnitarza. Bez tej protekcyi zamiar widzenia żubra na wolności jest dla każdego cudzoziemca niedoścignionem marzeniem.

Puszcza Białowieska zajmuje obszar około 2000 kilometrów kwadratowych, i przytyka z jednej strony do pustej stepowej okolicy, z drugiej do wiosek i obszernych pastwisk. Sam las jest przeważnie sosnowy, lecz mieści w sobie także jednolite partye drzew liściastych, lub jest mieszanym. W niektórych takich partyach trafiają się jodły i świerki. Partye liściaste stanowią dęby, jawory, brzosty, lipy, brzozy, olchy, leszczyna i wierzbina. Partye czystego lasu dziewiczego, przegradzane są tu i ówdzie łysinami, na których zwęglałe pnie są świadkami wybuchających od czasu do czasu leśnych pożarów. Inne partye starodrzewu powywracały burze i setki pni olbrzymich leżą tu jedne na drugich, tak jak padły, próchniejąc powoli, a wśród tych łomów nowa generacya zapuszcza korzenie. Obok tego rozlegają się nieprzejrzane moczary, „rojsty“ i trzęsawiska, porosłe bujną trzciną, klombami olch i łoziny, splecionej w gąszcz nieprzebytą, przez którą tylko potężny żubr w pochodzie swym przebić się zdoła. Inne polany leśne przekształcono już w uprawne łąki, a siano z nich służy żubrom za karmę w czasie zbyt ostrych zim.

Po całej puszczy rozrzucone są nieregularnie dworki służby leśnej lub chaty prostych leśników, którym czuwanie nad kolonią żubrów jest powierzone. Ten obowiązek wyrobił w nich wyborną znajomość sposobu życia i zwyczajów żubra, tak, iż zdolni są o każdej porze dnia i roku niemal z całą ścisłością wskazać, gdzie jaki byk lub liczniejsza trzoda przebywa.

Towarzyszący mi urzędnik wyższy otrzymał raporty ze wszystkich części puszczy, nie było nam więc trudno pod przewodnictwem doświadczonego leśnika podsunąć się pod najbliższą z trzód. Składała się ona z ośmiu krów, czworga cieląt i dwóch niewielkich byków. Dotychczas widywałem te zwierzęta tylko pojedyńczo w ogrodach zoologicznych. Cóż za różnica! Jakże inaczej przedstawiały się one tutaj na wolności! Nie chciałem niemal wierzyć, że to jest jeden i ten sam rodzaj zwierzęcia — tam za ogrodzeniem i tu pod gołem niebem, wśród otoczenia i szumów dziewiczego boru!

Trzoda spoczywała na małej polance. Wszystko było spokojne; tylko od czasu do czasu poruszyła się głowa, ażeby uprzykrzone muchy i bąki odpędzić. Ale pocieszne, niezgrabne, podsadkowate cielęta nie mogły długo bez ruchu wytrzymać. Jedno i drugie buchało matkę chcąc ssać, inne zaś podniosło się, aby w uciesznych podskokach pobrykać, co widząc tamte szły za jego przykładem. Rozpoczęło się

ogólne brykanie. Z ogonem do góry wzniesionym, z łbem na dół spuszczonym, poczęły wyrzucać zadem, to znów skakały na wszystkie strony, wreszcie w szalonym pędzie okrążyły polankę, goniąc się nawzajem i wracając do swych matek, które, podniósłszy głowy, przyglądały się z widocznem zadowoleniem tym igraszkom swych potomków. Jałowe krowy leżały jak poprzód spokojnie, nie zwracając uwagi na zabawę rozbujałej młodzieży.

Przypatrywaliśmy się temu wszystkiemu ze stanowiska na drzewie, ani jeden ruch zatem nie uszedł naszej uwagi. Wtem na znak mego towarzysza ruszył się nasz leśnik, ażeby pod wiatr zbliżyć się ku trzodzie. Zaledwie to uczynił, natychmiast wyprężyło się kilka kolosalnych głów, wietrząc w kierunku, w którym podchodził leśnik. Niebawem wszystkie sztuki zerwały się na nogi, i z głowami na dół pochylonymi stały chwilkę, jakgdyby oceniając doniosłość zbliżającego się niebezpieczeństwa. Nagle krowy zaczęły bić ogonami i rzuciły się z wściekłością w kierunku, z którego ich wiatr dochodził. Nasz leśnik wydrapał się tymczasem na dęba i przycupnął. Wkrótce wróciła cała trzoda galopem na polankę, z łbami do góry wzniesionymi przebiegała ją, wyrzucając racicami ziemię do góry, aż wreszcie, bijąc nogami i prychając dziko, stanęła. Lecz ślepie żubrów błyszczały wciąż groźnie, z pod uderzających w ziemię racic wylatywały kawałki murawy, ogony śmigały w powietrzu, a nozdrza wciągały pilnie wiatr, który widocznie straciły. Wtem jeszcze raz rzuciły się w pędzie na około polanki, aż wreszcie, jak burza pomknęły ku pobliskiej olszynie i zniknęły w niej, depcząc i łamiąc wszystko po drodze. Gęstwina, przez którą człowiekowi trudnoby się było prześliznąć, nie stanowiła dla nich żadnej przeszkody, a chwiejące się jak w czasie burzy wierzchołki olch wskazywały zdaleka drogę, którą żubry w ucieczce swej obrały.

Całą tę scenę wspaniałą zawdzięczałem tej okoliczności, że cztery krowy miały przy sobie cielęta i czuły się w obowiązku bronić je przed spodziewanym napadem zwietrzonego z oddali człowieka. Jałowe krowy i pomniejsze byki nie zwykły same ludzi atakować, matki wszakże stają natychmiast w obronie swych młodych i rzucają się na człowieka z taką wściekłością, jak na niedźwiedzia lub wilka.

Niedźwiedź i wilk, również i ryś, podkradają się nieraz pod pasące się samotnie cielaki, ale nie mają odwagi zapuszczać się w walkę z krową, wiedząc, że wynik walki musi być zawsze dla nich niekorzystnym. Przeciw wściekłym uderzeniom rogów żubra nie wystarczą straszne zresztą łapy niedźwiedzi.

Dnia następnego postanowiliśmy złożyć wizytę wielkiemu bykowi, który obrał sobie był siedzibę między łomami niedalekiej partyi dziewiczego lasu i wiódł tam życie pustelnicze, poodpędzawszy niedelikatnie wszystkie inne żubry, które mu chciały towarzyszyć. Wzięliśmy z sobą sznurowe drabinki, aby się w danym razie salwować na drzewa, gdyż wedle zapewnienia leśnika, stary ów pustelnik nie odznaczał się wytworną grzecznością w obec ludzi.

Idąc ku oznaczonemu miejscu, skrzyżowaliśmy się z tropem, który wskazywał na bardzo dużą sztukę, w dalszej zaś drodze przebywaliśmy mozolnie łomy próchniejące, gąszcza drzew i oczeretów i stanęliśmy wreszcie w pobliżu rzeczonej pustelni. Leśnik wylazł wówczas na smukłą jodłę. Przejrzawszy całą okolicę, zlazł niebawem i zdał nam raport, że starego żubra nie ma w domu. Wedle jego przypuszczenia, ponieważ z końcem sierpnia nadchodzi czas rui, musiał opuścić swą pustelnię i przyłączył się do którejś z trzód.

Cóż było robić? Podjęliśmy dalszy trzygodzinny marsz za naszym przewodnikiem, już to wspinając się na łomy zagradzające nam drogę, jużto zapadając niespodziewanie po pas w próchno pni na pozór zdrowych, jużto prześlizgując się na brzuchu pod sploty pni i gałęzi. Towarzysz mój nie zawsze czynił to z świętą cierpliwością; nieraz wyrwał mu się z ust cały różaniec przekleństw, aż w końcu, nie żenując się wcale, posyłał mnie razem ze żubrami do stu dyabłów za tę przechadzkę, nie podobną w niczem do ślizgania się po parkietach salonu.

Pomimo tylu trudów i zabłocenia się na moczarach aż po uszy, nic już nie nadybaliśmy dnia tego. Liczne, tu i tam krzyżujące się tropy, pouczyły nas, że nastąpiło zupełne przesunięcie zwyczajnych ostoi, a gdyśmy spotkali kilka na pół rozdartych olch i głęboko zdeptanych miejsc, będących świadectwem walki między bykami, byliśmy pewni, że czas rui już się rozpoczął.

Podkradając się następnych dni w różne części knieи z dwoma przewodnikami, miałem sposobność widzieć tu i owdzie mniejsze osamotnione byki, prawdopodobnie przez rywali od trzód odpędzone. Objawiały one swe niezadowolenie, wyrzucając nogami ziemię lub orząc ją z wściekłością rogami. Wydawały przytem z siebie szczególny głos, na poły ryk, na poły stękanie i dzikie prychanie. Ujrzawszy nas lub zwietrzywszy, znikały natychmiast między łomami.

Dopiero pewnego wieczora udało nam się podejść większą trzodę żubrów. Przenocowawszy w niedalekiej chacie, wróciliśmy w to samo miejsce nad ranem. Pasąca się trzoda liczyła 26 sztuk, przeważnie krowy z cielętami lub bez cieląt i trzy duże byki, które w najpocieszniejszy sposób do krów się zalecały, unikając się jednak między sobą. Ponieważ mogło się stać niebezpiecznem drażnienie naszym widokiem lub wiatrem i tak już podnieconych zwierząt, zajęliśmy stanowisko obserwacyjne między gałęziami potężnego jawora. Przez blisko cztery godziny przypatrywałem się tu całej trzodzie, to pasącej się to igrającej, a niepokojonej bezustannie przez byki, które to do krów się zbliżały i za niemi goniły, to znów pruły ziemię rogami, lub tu i owdzie krzak jaki z korzeniami z ziemi podważały.

Nie uszedł tu mej uwagi żaden akt rui, a gdy potężny byk zbliżał się do krowy z wywalonym sino-czerwonym ozorem, z ślepiami sypiącymi iskry, to stawał się zaiste obrazem niepowściągnionej, tytanicznej siły, jakiego w życiu mem jeszcze nie widziałem. Krowa, unikając spotkania z groźnym konkurentem, wymykała się co chwila, lecz tem podniecała w nim właśnie siłę ognia, a gdy wśród tego dzikiego flirtu wpadali w zarośla, zdawało się, że huragan z korzeniami je wydziera. Krowa zwolniła wreszcie krok swej ucieczki i nastąpiło zetknięcie, trwające zaledwo kilka sekund, po którem byk pruł z tryumfem ziemię i wyrzucał rogami w górę całe płaty darni, podczas gdy krowa stała spokojnie z wygiętym w kabłąk grzbietem.

Między innymi dwoma bykami rozpoczęła się tymczasem mała utarczka, lecz nie doszła do poważniejszego pojedynku, gdyż w tej chwili jeden z towarzyszących mi leśników, zdrzemnąwszy na gałęzi, spadł z drzewa. Stało się to hasłem ogólnego popłochu, a leśnik wspinał się czemprędzej na inne drzewo, aby uniknąć spotkania z rozjuszonymi zwierzętami. I w istocie, zaledwie na cztery metry od ziemi się wydrapał, przypadł do tegoż drzewa jeden z walczących byków jak wściekły, i uderzał w pień łbem, i orał pod niem ziemię rogami i przednimi badylami tak, iż się zdawało, że go wykorzeni. Reszta trzody z trzaskiem i łomotem zniknęła

w zarośli, a w końcu i atakujący nas żubr odstąpił od oblężenia, i wzniósłszy ogon do góry, pomknął za trzodą.

W kilka dni później udało mi się być świadkiem strasznej walki, stoczonej przez rozjuszone współzawodnictwem byki. Zastałem na polanie trzódkę, złożoną z czterech krów, cielęcia i byka. Leżały spokojnie. Wtem ozwało się z jednej strony gwałtowne łamanie w lesie i nagle wpadł silny byk na polankę. Skoro go tylko zoczył byk, leżący przy krowach, zerwał się na nogi. Chwilkę mierzyli się obaj zapaśnicy dzikim wzrokiem, a potem zabrzmiał ochrypły ryk i wściekłe prychanie. Potężne głowy zniżyły się aż ku ziemi, ogony biły gwałtownie po bokach, a z pod drepczących racic wylatywała murawa kawałami w powietrze. Tak zbliżały się żubry ku sobie, a gdy już były na jakie 10 kroków od siebie oddalone, starły się jak dwa gromy. Z głuchym łoskotem uderzyły o siebie czaszki i tylko stłumione sapanie i prychanie towarzyszyło tej walce. Gdy samo parcie łbami nie dało góry jednemu nad drugim, zaczęły padać jak grad uderzenia rogami, a z pod nóg wyskakiwały kawałki ziemi. To jeden to drugi był niemal całą przednią częścią tułowiu na ziemi, ale w tej chwili prostował się i odzyskiwał górującą postawę szermierza. Udałym uderzeniom rogów towarzyszył stłumiony ryk bolu.

Krowy tymczasem powstawały i z podniesionymi w górę głowami śledziły wynik walki. Chwilami odskakiwali od siebie zapaśnicy, ale tylko na to, aby z tem większą gwałtownością napowrót uderzyć.

Nareszcie, po półgodzinnej walce, jeden z byków powalił drugiego i już chciał dalej siłą swych rogów dać mu się we znaki, gdy ten się zerwał, skręcił i umknął w zarośla. Zwycięzca stał z łbem w górę wzniesionym; sino-czerwony ozór zwieszał mu się z pyska, ślepie iskrzyły się jak węgle, a z gardziela wydobywało się szczególne, urywane porykiwanie, jak piekielny śmiech szyderstwa, którym zwycięzca ścigał jeszcze przeciwnika. Potem zbliżył się spokojnie do swej trzody.

Miejsce walki było tak rozorane, że ani ździebła trawki nie widziałeś na niem. Głębokie dziury dawały miarę siły, z którą żubry badylami się zapierały. A bój podobny, toczony przez dwa kolosy leśne, jest zaiste widowiskiem tak wspaniałem, że urąga wszelkim próbom opisu. Trzeba widzieć te walczące byki, mieć przed sobą te iskrami sypiące ślipie i te wytężające się mięśnie, słyszeć głuchy grzmot tych czaszek uderzających o siebie, łoskot tych rogów i drżenie ziemi pod walczącymi — aby mieć należyte wyobrażenie, czem bywa tytaniczna walka godowych współzawodników, czem jest prawo doboru w naturze.

W takiej walce ulegnie czasem jeden z zapaśników. Niemal co roku znajdują w puszczy nieżywego byka z pogruchotanymi członkami, z głębokimi ranami, ze skórą formalnie na strzępy podartą, z odbitymi rogami. Lecz ubytki takie nie wpływają wiele na stan kolonii, gdyż jest to tylko naturalny sposób regulowania stosunku płci do siebie. Powodem właściwym zastoju, a nawet ubytku w stanie liczebnym kolonii, są wybuchające od czasu do czasu między nią zarazy, a szczególnie jałowość wielu krów. Samica żubra nie cieli się co roku, a wedle zdania służby leśnej, dopiero co trzeci rok miewa cielę. Z opinią tą zgodnem jest spostrzeżenie, że w każdej trzodzie napotyka się na jałowe krowy, i zawsze prawie są one w większości. Czy stan ten jest tylko Białowieskiej puszczy właściwym, czy powtarza się również i na Kaukazie — nie umiem powiedzieć.

* * *

Jeszcze wspomnienie romantyczne.

Gdym wracał z jednej z wycieczek przez puszczę ku leśniczówce, zwrócił uwagę moją towarzyszący mi leśnik na samotnie wśród lasu stojący, z grubsza ociosany kamień. Na pytanie, coby on oznaczał, taką usłyszałem opowieść:

Dawno już temu, mieszkał nieopodal tego kamienia leśnik. Miał on córkę, hożą jak łania, najpiękniejszą z całej okolicy. Wpadła ona w oko jednemu z praktykantów leśnych. I on był dzielny, smukły, urodziwy chłopak, nic więc dziwnego, że przypadli sobie do serca. Stary leśnik nie patrzył wszakże dobrem okiem na te zalecanki, gdyż nie ufał zamiarom praktykanta, i zamierzał córkę wydać za równego sobie, sąsiedniego leśnika, człowieka także młodego.

Lecz dziewczynie zawrócił głowę gładki praktykant, a że ojciec nie dopuszczał go do chaty, naznaczali sobie schadzki w lesie.

Pewnego wieczora czekała dziewczyna na swego kochanka na tym tu kamieniu. Wtem wypadł żubr z zarośli i spostrzegł ją. Czy już był walką rozwścieklony, czy może jaskrawe barwy odzienia dziewczyny go rozjuszyły, wpadł na nią i wziął ją na rogi. Przerażający okrzyk trwogi rozdarł powietrze. Kochanek był już niedaleko. Usłyszawszy ów krzyk, rzucił się cwałem ku znanemu miejscu, lecz gdy na niem stanął, ujrzał już tylko bezkształtną bryłę ciała, którą żubr w górę podrzucił i znikł w gąszczy.

Z rozdartem sercem stanął młodzieniec nad zwłokami dziewczęcia. Trudno w nich było poznać kształtów człowieka. Zaledwo tylko strzępy dobrze znanej odzieży utwierdziły go, że to ona i że stracił kochankę na zawsze. Wściekły zwierz roztratował formalnie dziewczynę na bezkształtną masę.

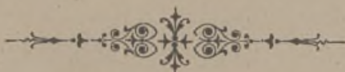
Zachodzące słońce ozłacało właśnie wierzchołki drzew. Młodzieniec stał jak skamieniały pod wpływem zgrozy i bolu. Nareszcie ocknął się i chwiejnym krokiem poszedł do ojca nieszczęśliwej z hiobową wieścią.

Jeszcze tej samej nocy zniesiono śmiertelne resztki do chaty leśnika. Nazajutrz widziono praktykanta, pogrążonego w niewysłowionym smutku, jak bryle tego kamienia nadawał surowe kształty pomnika. Potem, zarzuciwszy strzelbę na plecy, znikł w lesie.

W kilka dni później znaleziono ubitego żubra w puszczy. Celny strzał przez ślepie do mózgu, położył koniec jego żywotowi.

Młodzieńca nie ujrzano już więcej.

St.



Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Gdy po rozmnoży kaczka się wypierzy, nie dowierza swym lotom i niechętnie się zrywa, a jeżeli przeważy wrodzona płochość, to porywa się w tyle za myśliwym, tak, iż ulatuje niestrzelana (zepsuta w łowczym języku). Fortelu tego używają kaczki nieraz i w innej porze. Siedząca na gnieździe, nie chcąc widocznie zrywaniem się zdradzić gniazda, przyczają się, ale w końcu opuszcza gniazdo, niemając już innego sposobu ratunku.

Zbarczona lub w jakikolwiek sposób uszkodzona, przepada kaczka zwykle, jeżeli tylko bardzo cierpliwy i obeznany z jej fortelami pies jej nie odszuka. Wciska się bowiem w gęstwiny traw, a gdy i tu ją prześladują, nurza się w wodzie i długi czas pod powierzchnią tejże znajdować się może. Gdy jej powietrza brakuje, podchodzi powoli pod powierzchnię wody, wystawia jedynie tylko dziób dla zaczerpnięcia powietrza i zanurza się znowu, aby po chwili znów to samo powtórzyć. Wobec tego i pies nieraz głupieje, męczy się napróżno, a wreszcie z rozpaczy szczekać zaczyna.

Wzrok i słuch to najsubtelniejsze zmysły kaczki, powonienie zaś, czyli wiatr, jest według mego zdania, nadzwyczaj słaby, i bardzo łatwo oszukać ją pod tym względem. Zdanie to opieram na doświadczeniu, chociaż sprzeciwia się ono twierdzeniom wielu. Kto kiedykolwiek widział budkę, urządzaną przez kłusowników na wodach i był świadkiem spustoszenia, jakie nieraz jeden strzał z niej dany sprawia pomiędzy stadem kaczek siedzących nieopodal na wodzie, ten z pewnością zwątpił o nosie kaczki.

Bystrość wzroku objawia się najlepiej przy zjeżdżaniu kaczek na odkrytej płaszczyźnie wody. Tu nie ma sposobu na strzał się zbliżyć. Niemniej na ciągach trzeba skryte obrać stanowisko, aby zdaleka nie wpaść jej w oko nawet w mroku wieczornym, i aby kaczka nie zboczyła lub nie wzniosła się w górę po za donośność strzału. Stada kaczek, pojawiające się nieraz podczas wylewów na wielkich a czystych lustrach wody, są dla wieśniaków tak łakomą rzeczą, iż najdziwaczniejszych nieraz sposobów używają, aby na strzał się zbliżyć, a jednak rzadko kiedy sztuka się udaje.

W roku 1885. wielki wylew wody zatopił we wsi Powerchowie niemal cały obszar łąk. Wśród ogromnej tej czystej płaszczyzny wody usiadło niemal na środku stado krzyżówek, a po wodzie około metra głębokiej pływało jeszcze tu i owdzie kilka kopic siana, które wylew w tym stanie zachwycił. Przez długi czas obserwowały tę scenę na wodzie rozmaite postaci chłopów, bab i dzieci, wyglądając z po za płotów niezalanych jeszcze ogrodów osady. Stado kaczek, czerniące się w mglistej oddali, jestto widok, który prędko wyczerpie cierpliwość tamtejszego mieszkańca; to też ujrzałem, jak jeden z towarzystwa tego licznego przeskoczył płot w stroju adamowym, a niosąc w ręku jakąś rusznicę przedpotopową, podbiegł wodą do najbliższej kopicy siana i pchając ją przed sobą, pod okryciem takiem jął się zbliżać do stada. Podróż była daleka, bo przynajmniej 500 kroków; jednostajnym i powolnym ruchem zbliżył się do stada i wreszcie wystrzelił. Widziałem następnie jak dwie krzyżówki przyniósł z powrotem. Co najmniej zasłużona to zdobycz.

W gęstych trawach, wśród wód siedzące kaczki mogą się tylko swym doskonałym słuchem posługiwać; to też chcąc je zjechać czółnem, nadzwyczaj cicho należy to uskuteczniać. Zdarza się jednak, że kaczki dosiadują blisko, osobliwie przed psem, bobrującym (szukającym) po wodach i trawach. Są to kaczki, o jakich już wspominałem, lub gdy się poluje w porze wietrznej. W porze takiej zwykle się je mija, a zrywają się dopiero w tyle, gdyż dopiero wtedy przynosi im wiatr szmery i uderzenie żerdzi. Niezawodnie o takiej to porze Kaszubowie, polując na kaczki, odgłosem bębna je wypłaszali, jak o tem wspomina Maciejowski (Polska Tom II. 357), bijąc je „okrągłym ołowiem w siarczystym płomieniu“ (Bielawski, Myśliwiec).

Czem niedostępniejszymi są miejsca pobytu kaczki, czem gęstsze kryją ją szuwary, trzciny i t. p., tem trudniej się porywa, umiejąc dobrze ocenić wartość takich ochron. To też zdarza się, iż przesuwając się mozolnie przez gęste lasy trzcin na wodach, ujrzy się nieraz niemal z pod czółna zrywającą się kaczkę; siedziała ona w bliskości mimo łoskotu, myśląc, że uniknie niebezpieczeństwa.

Płci wszystkich naszych odmian kaczek różnią się tak pod względem wielkości jako też upierzenia; kaczory są większe, a upierzenie ich zawsze strojne, a czasem pełne barw bogatych i wspaniałych. Wiadomo, że kaczka nigdy w pierzu nie przemoknie, bo całe upierzenie jej powleczone jest warstwą delikatnego tłuszczu, który się wytwarza w gruczołkach, umieszczonych nad kręgami ogonowymi. Tłuszcz ten, wydzielający się, rozprowadza ptak muskając szerokim dziobem pióra, a być może, że karby na dziobie działają tu podobnie jak grzebień pomadą nasmarowany. W ogóle kaczka bardzo starannie pielęgnuje swe piękne ubranie, a wyrównując najmniejszą nierówność w układzie piór, wygląda zawsze czysto i gładko.

Lecz rozkoszne życie kaczki kłócą również ciężkie troski, a jedną z największych jest ciągła obawa o życie zagrożone z wszystkich stron. Niemasz i tu prawdziwego szczęścia na ziemi.

Pominąwszy już człowieka, czyha na jej jaja i na jej smaczny kawałek mięsa cały zastęp groźnych konsumentów. Rozbójniki ptasiego rodu pożądają, każdy według swej siły i zdolności, tej łakomej zdobyczy i konkurują z rozmaitymi drapieżnikami ssącymi, które dybią z całą zaciekłością bądź za jajami, bądź za płodem lub wreszcie wyrosłymi kaczkami. Ba, nawet z ciemnej otchłani wód grozi temu ptakowi niebezpieczeństwo, bo drapieżnych ryb potężne cielska podsuwają się niepostrzeżenie pod kaczki i niejedna z nich ginie z towarzystwa, jakby jej na świecie nie było, wciągnięta w kołbań żarłoczną paszczą suma lub szczupaka.

Wziąwszy na uwagę, że każda strefa klimatyczna, w której kaczka w rozmaitych porach roku przebywa, posiada zarazem cały zastęp owych rabusiów, czychających na

jej niewinny żywot, że wędrówkom jej towarzyszy zawsze cały poczet owej zawsze głodnej hołoty, że niemal każde oko drapieżne, czy to z pod obłoków, czy z toni wód, czy też z gąszczy boru, pożera ją bodaj w imaginacyi, dalej, że ludzie, osobliwie w południowych krajach, urządzają istne mordownie tego ptactwa, tak dalece, że zwierzyna ta albo za bezcen musi być sprzedawaną, lub konserwowaną dla poźniejszego spożycia — da się istnienie kaczki w takich ogromnych masach tylko jej nadzwyczaj obfitą rozmnożą uzasadnić i tem, że posiada w swych zmysłach doskonałych broń zachowawczą.

Jeszcze promień słońca nie wytrysnał, jeszcze cały świat nurza się w szarej pomroce, powierzchnię wód okrywają gęste mgły tumany, a kaczki rozmaitych odmian przeciągają już nad wodami, zmieniając miejsca żerowisk. Niepokoi to królewską duszę orła, siedzącego w głębi pobliskiego lasu, rozpuszcza tedy loty, wzbija się pod obłoki, a upatrzywszy zdobycz, goni krzyżówkę szalonym lotem. Gdy się napad uda, unosi kaczkę do lasu, w przeciwnym razie powtarza tę samą praktykę aż do skutku, póki przynajmniej jedna kaczka nie zginie w jego szponach wśród tej powietrznej pogoni.

Mniejsze kaczek odmiany chronią się przed orłem szybkością lotu; zresztą nie kusi się orzeł o tak lichą zdobycz, mając podostatkiem większej i łatwiej ująć się dającej zwierzyny. Na cyranki jest tam inny specyalista, pławi się on już tymczasem w powietrzu, największy rabuś, największy rycerz bez bojaźni, lecz nie bez nagany: sokół wędrowny. Jak meteor jaki spada z pod obłoków, i puszcza się w pogoń za cyranką z szybkością niepojętą. Słyszy się wówczas tylko szum, przeraźliwe przerzynanie powietrza, jakiś przedmiot spada powietrznymi szlaki — to sokół wędrowny w pogoni za cyranką. Opłakany los biednej cyranki! Zapamiętały ten morderca schwyci ją niezawodnie w locie, a gdy za daleką obrał metę i sztuka mu się nie uda, ściga cyrankę dalej na wodzie i z taką natarczywością na nią wpada, iż sam nieraz topiąc się, życiem przypłaca szaloną odwagę.

Już zeszło słońce, błyszczą jaskrawo szyby wody, głucha cisza zalega, zniknęły gdzieś kaczki w trzcinach i zaroślach, nasyciły się rabusie, lecz to nie koniec ofiar z kaczego życia na dzień dzisiejszy.

Jak *deus ex machina* zjawia się nowy łotr, łotr sprytny i odważny, a zawsze głodny, jastrząb gołębiarz. To już nie rycerz, to prosty złodziej. Ten chwyta i szarpie co widzi i gdzie widzi, niskim lotem waży się w powietrzu, przegląda wszystkie dziury i komesze, a upatrzywszy zdobycz, szatańskim wzrokiem teroryzuje biedną kaczkę, wachluje nad nią skrzydłami i porywa jak swoją, i gdy ofiara usiłuje ratować się ucieczką, błyskawicznym ruchem chwyta ją w powietrzu. Złodziej ten bezwstydność swoją posuwa do ostatnich granic; towarzyszy w oddaleniu nawet myśliwemu i nie rzadko chwyta zbarczone kaczki i oskubuje je z wszelką arogancyą, podglądając z pod oka każdy ruch myśliwego.

Jastrząb poluje niezmordowanie o każdej porze dnia i ze wszystkich drapieżników największe szkody wyrządza. Podczas tych objawów siły przed prawem w świecie ptasim, przeciągają wolnym, lecz badawczym lotem, nisko, bo tylko po nad wierzchy oczeretów i zarośli, rozmaitego rodzaju niedołęgi i piecuchy z rodu drapieżców. Kanie i błotniaki odbywają znów ściślejszą rewizyę; żywią one krwi chciwe zamiary, lecz brak im odwagi a może i siły. To też na zdrowe i wyrosłe kaczki nie zwracają uwagi, zadawalają się wypiórkiem i podglądają, czy nie znajdzie się gdzie resztka z pańskich stołów. Zdarza się, że niedołęgi te, widząc orła lub sokoła przy biesiadzie, do tego stopnia mu dokuczają, iż tenże dla świętego spokoju opuszcza żer, oddając resztki na pastwę tych żebraków, i wstydząc się nędznego postępowania swych bliskich krewnych, kryje się w głębi lasu.

Kłusownikom, łowiącym kaczki na sidła, wyrządza ptactwo to ogromne szkody i jest nieraz jedyną strażą na wodach, zmuszającą w właściwy swój sposób do zaniechania stawiania sideł. Nim człowiek zdoła złowione ptastwo wyjąć ze sideł, już tam były kanie i zrobiły porządek, a raczej nieporządek, bo strasznie wygląda miejsce, gdzie gospodarował taki żebrak czy złodziej, opływający w zbytkach. Jedne trupy do pół ogryzione z wypuszczonymi trzewami, drugie owalane i trochę podskubane, z innych pozostały tylko twarde i mniej smaczne części, reszta w rozmaity sposób brutalnie naruszona.

Kruk, wrona i sroka, również według możności, starają się tu coś korzystać; pierwszy pustoszy gniazda, wrony a nawet sroki porywają kaczęta, lecz gawiedź ta wysługuje się bezbronnemu ptactwu za wyrządzone psoty, bo okropną wrzawą zwiastuje zbliżanie się jakiegokolwiek ptaka drapieżnego.

Już noc zapadła, ptactwo drapieżne pociągnęło w lasy na spoczynek, tylko na moczarach i wodach odzywają się głosy rozmaitych mieszkańców tych okolic, a na tle różnorodnych tych brzmień znaczy się przeraźliwie kwaknięcie kaczki. Jestto właśnie pora, w której po miłym dziennym spoczynku powstają do nowych krwawych zamachów czworonożni drapieżce. Mykita ze swą zacną rodziną, którą właśnie we wszystkich kunsztach edukuje, posłyszał głosy, a gdy cicho zwietrzył pływające u brzegu lasu kaczki, błysła nadzieja miła dla całej rodziny i wnet całe to zacne gronko podyndało pládrować po trawach i trzcinach, a stary lisiura, nie dbając na swoją i tak o tej porze haniebną sukienkę, bobruje nawet po wodach i błotach. Niemniej i mniejsze drapieżce, kuny i tchórze, nie przyczyniają się do uprzyjemnienia życia biednych kaczek, a wydra w swem morderczem rzemiośle nie gardzi również smaczną kaczęciną.

Oprócz tych wszystkich wrogich napastników, głupota i złośliwość ludzka również niepomierne wyrządza psoty w rozmnoży tego ptaka, a przytem wszystkiem coraz forsowniejsza eksploatacya ziemi, postęp kultury, jak sturamienny polip wyciąga swe macki w najskrytsze zaułki wolnej przyrody i poezyę jej zamienia w codzienny kawał chleba, za którym wrzeszczą miliony.

Zbyt może ponurym obrazem kończę biografię kaczki dzikiej, jednak nie ona sama żyje w tych smutnych warunkach; podobnymi epizodami z życia dałyby się zakończyć biografie niemal wszystkich istot bezbronnych tak w małym, jako też w wielkim świecie.

Jak u wszystkich zwierząt domowych, tak i u kaczki zacierają się w skutek wpływów hodowli cechy właściwe jej rodu, a pod niezmiennym i odwiecznym działaniem prawa dziedziczności typów, stosunkami wytworzonych, doznaje każde zwierzę domowe wielkich przeobrażeń, oddalających go coraz bardziej od jego prototypu; to też analogia dzikiej i domowej odmiany niedaleko zaprowadza, a odmiany dzikie, żyjące w świecie, gdzie „tylko najwięcej odpowiedne indiwiduum przeżywa inne“, tworzą zawsze ciekawą kartę.

Nie będę tu opisywał i powtarzał za innymi opierzenia i wyglądu pojedynczych odmian kaczek; rzecz tę znajdzie w każdej zoologii, a są one, choćby najsumienniej skreślone, zawsze blade wobec natury, dla piszącego zaś pracą żmudną, bo zdziałaną w przeświadczeniu, że nie na wiele się przyda, zwłaszcza, gdy każdemu wolno korzystać z tak bogatego

zbioru wypchanych zwierząt krajowych w okazach, wykonanych z głęboką znajomością rzeczy, jakie posiada muzeum przyrodnicze hr. Wł. Dzieduszyckiego we Lwowie. Poprzestanę tu zatem li tylko na pobieżnem wyliczeniu odmian kaczek krajowych.

Do najpospolitszych, u nas gnieżdżących się kaczek, należy krzyżówka *(Anas boschas)*, kaczka dzika. Kaczka krzyżowa na Rusi zwana „Siera kaczka“ albo „Wełyka“, w rozmaitych ziemiach polskich także szarką, burką, wielkochą, u Tyzenhauza „krakwą“ u Wagi „nieroznakwą“ zwana. Sam ten długi szereg nazw mówi już o jej pospolitości we wszystkich dzielnicach rozległej naszej ojczyzny. Jest ona rzeczywiście „wełyka“, bo długość jej dochodzi do 65 cm. i jest największą ze wszystkich naszych odmian.

Do dość pospolitych należy cyranka, znana pod tą nazwą niemal ogólnie, jakkolwiek w myśliwstwie zwą ją w Mazowieckiem także nieraz i „trajkotką“ od głosu kaczora, który podobny jest do głosu przez trajkotkę wydawanego, w ornitologii *Anas querquedula*, *Querquedula circia*. Są miejscowości, w których liczebnie w większej niż krzyżówka znajduje się ilości, a będąc mniej ostrożną, łatwiej daje się podchodzić. Dostarcza najsmaczniejszej i najwyżej cenionej zwierzyny, a poznać się daje bardzo łatwo nawet w pomięszaniu z innymi odmianami, gdyż pływając, dyga bezustannie główką. Miary około 40 cm. Na drzewach nie gnieździ się nigdy.

Specyałów kulinarnych dostarcza również i cyraneczka *(Anas crecca)* na Rusi gdzieniegdzie „czernykiem“ zwana. Jestto kaczeczka bardzo mała, bo tylko 35 cm. długości, dość pospolita w mokrych zaroślach. Bywa dosyć poufałą i łatwą do podejścia. W niektórych miejscowościach także ją „świstunką“ nazywają, chociaż głos tej kaczki bynajmniej do świstu nie jest podobny. Smaczne jej pieczyste zdaje się stąd pochodzić, iż kaczka ta niemal wyłącznie roślinny pokarm przyjmuje, a widziałem nieraz śliczne, choć wcale nie strojne te kaczki, jak w szybkich ruchach uwijały się, zbierając łakomo nasionka traw z wody się wynurzających.

Krakwa *(Anas strepera)* u Kluka „Grzechotka“ jest odmianą nieco już rzadszą na naszych wodach, jakkolwiek widywałem ją w pomieszaniu z innymi w wielkich stadach w przelocie, a spotykałem się z nią niemal co roku podczas pory lęgowej. Jestto kaczka dość wielka, bo do 60 cm. długości dochodzi, a na pierwszy rzut oka daje się odróżnić od krzyżówki, gdyż lusterko jest u niej w połowie czarne w połowie białe, podczas gdy u krzyżówki zawsze metalicznie-fioletowo połyskuje; w reszcie upierzenia podobną jest do krzyżówki i stąd zwykle nawet za krzyżówkę uważaną bywa. Po zwróceniu uwagi na cechę, o której wspomniałem, przekona się każdy, że odmiana ta u nas wcale do rzadkich nie należy, a dodać tu muszę, że kaczory tej odmiany mało tylko różnią się w upierzeniu od kaczek.

Rożeniec *(Anas acuta)*, przez Kluka „strzałogonem“ a przez Tyzenhauza „długosterną“ lub „rożeńcem“ zwana, jest podobnie jak poprzednia nierzadką, jednak nie w każdej znajduje się miejscowości, gdzie poprzednie odmiany przebywają. Długość jej wynosi około 70 cm., jednak z tego na ogon około 20 cm. wypada, tak, iż waga kaczki tej daleko jest mniejszą, niżli waga krzyżówki. Ogólny kształt rożeńca bardziej wysmukły, długa szyja i ostre sterówki, dają możność odróżnienia go nawet w wielkiem oddaleniu a tembardziej w locie.

Obie ostatnie odmiany nie gnieżdżą się nigdy na drzewach, lecz przy większych wodach na ziemi.

Do bardzo smacznych kaczek należy t. z. płaskonos *(Anas clypeata* albo *Rhynchaspis clypcata)* u Wagi „Płytkonos korsuń“ u ludu zaś powszechnie „płaskonosem“ zwana. Jakkolwiek przyrodnicy nasi twierdzą, iż kaczka ta gnieździ się u nas, nie zdarzyło mi się w porze lęgowej spotkać jej gniazda lub płodu, a widziałem i widzę rokrocznie kaczkę tę w towarzystwie innych odmian w wielkich stadach podczas przelotów, osobliwie wiosennych, gdy na dłuższe popasy na miejscowe wody zapada. O ile badawcze me oko dojrzeć zdołało, rodzaj ten kaczki opuszczał zawsze swe pokrewne gatunki, które u nas na lęgi pozostawały, i pospieszał po popasie dalej na północ. Może być, że dążył tylko na poleskie bagna, a może w Augustowskiem, zasianem 488 jeziorkami, które łącznie 70.000 morgów pokrywają, świta mu lepsza i wygodniejsza ojczyzna.

Jestto prawdziwie wspaniale ubrana kaczka i szkoda, że szpeci ją długi nadmiernie, w końcu rozpłaszczony i ciężko wyglądający dziób, podobny do rękojeści niezgrabnej warzęchy, stanowiący jeszcze wybitniejszy kontrast z ciałem zgrabnem i wysmukłem. Między ptakami naszej strefy, gdzie tak rzadko widzieć można owe, za oczy chwytające barwy upierzenia, gdzie oko raziłyby blaski w słońcu bujających szmaragdów, rubinów i szafirów, jakimi są kolibry strefy podzwrotnikowej Ameryki — gdzie oko nasze przywykło do szarych barw wrony, wróbla, skowronka, przepiórki i t. p. — ptak bogato ustrojony i świetnymi błyszczący barwy, mimowolnie wbija się w pamięć, a takim jest kaczor płaskonos w stroju wiosennym. Tkwi on i mnie dobrze w pamięci, dlatego przezwyciężam wstręt do opisów tego rodzaju, do których nam słów i wyrażeń braknie, i skreślę bodaj nieudolny opis jego upierzenia.

Wszystkie niemal barwy nosi na sobie ten kaczorek i to w tonie tak świeżym i żywym, jak żadna inna odmiana, a upierzenie miękkie i puchowate przewyższa również delikatnością wszystkie inne. Ogromny dziób czarny, nogi pomarańczowe, tęcza cytrynowa, głowa i szyja szmaragdowo połyskujące, tu i ówdzie purpurowymi błyskami się mienią; grzbiet brunatny, wól biały, brzuch rdzawy, grzbiet i kuper czarniawe z połyskiem zielonym. W lotach pokrywy modre, jakby gęstą farbą pociągnięte, lusterko złoto-szmaragdowe, u wszystkich gatunków kaczek najbardziej błyszczące, na tle neutralnych i spokojnych barw skrzydła. Lot tych kaczek jest również szybki jak cyranek, bo zdarza się widzieć połączone stada w locie, w których płaskonosy przodem lecą.

W przelotach zjawiają się u nas świstuny, *(Anas penelope, Mareca penelope)*. Kaczkom tym zbywa na tem, co płaskonosy w nadmiarze posiadają; dziób mały i krótki, a poznać tę kaczkę można w locie po rodzaju świstu, lotami sprawianego. O ile mi kto uwierzy — bo jeżeli nie uwierzy to i nie uchybi — powiedzieć mogę, że pieczyste tej kaczki tak na wiosnę, jakoteż w jesieni, jest haniebne, bo na wiosnę chude i twarde, a w jesieni cuchnie tranem.

Tu się kończy szereg naszych kaczek pływających, do których właściwie ostatnia odmiana już nie należy, jednak zaliczyłem ją do naszych, bo nieraz masami u nas się pojawia i dłuższy czas popasa w przelocie na północ.

Z kaczek nurzających się, *Fuligulae*, najpospolitszą jest u nas podgorzałka *(Fuligula leucophtalmos)*, której długość do 45 cm. dochodzi. Gnieździ się ona wszędzie przy większych wodach, a pieczyste jej niemal cyrance się równa.

Kaczka głowienka albo „kaczka czerwonoszyja“ *(Fuligula ferina)*, także gdzieniegdzie podgorzałką zwana, zjawia się masami podczas przelotu i pozostaje w naszych wodach w małej tylko ilości na lęgi, ku czemu li tylko pe-

wne miejsca przy większych wodach wybiera. Długość jej 47 cm., a pieczyste tylko od biedy do użycia.

Czarnoczub albo czernica *(Fuligula cristata)* jakoteż ogorzałka *(Fuligula marila)* nie gnieździ się u nas, lecz nieraz masami na wodach naszych popasa w przelotach. Ogorzałki podczas lekkich zim zdybać można nieraz na cieplicach zacisznych, jednak trudne do ubicia, bo nużając się dla najbłahszej przyczyny, prawie tylko wyjątkowo dadzą się na strzał podejść.

Inne z kaczek nurzających się są już rzadszymi u nas zjawiskami, jako należące do innych stref klimatycznych, leżących bądź na północ bądź na południe od nas, tak, iż nie potrzebują w swych wędrówkach przecinać szlaków powietrznych naszego kraju. Mimo to pojedyncze egzemplarze wobec rozmaitych kaprysów podniebia zalatują i do nas.

Do takich należy kaczka hełmiasta *(Branta rufina)*. Znajduje się ona jako ptak gniazdowy nad brzegami morza Czarnego, a stąd zalatuje na Ukrainę, Podole, a nawet i do nas, bo przed laty kilkunastu ubito kaczkę tę na Prucie w Kołomyjskiem.

Uhla *(Oedemia fusca)* jest rodzajem kaczki, którą charakteryzuje gruby i paznogciem zakończony dziób. Mieszkaniec to północy, którego południową granicę ojczyzny stanowić się zdają rozległe błota dorzecza Prypeci, jakkolwiek faktem jest, iż wyjątkowo i u nas się gnieździ. Podczas lotu wydaje silniejszy świst niż krzyżówka.

Kaczka czarna *(Oedemia nigra)* należy do ptaków północy, a podróże jej w regule nie sięgają dalej niż do południowych brzegów morza Bałtyckiego. Podczas ostrych zim pojedyncze egzemplarze posuwają się dalej na południe i stąd przychodzimy w kraju naszym do okazów, zdobiących gabinety zwierząt w kraju ubitych.

To samo da się powiedzieć i o lodówce *(Harelda glacialis)*, zjawiającej się nieraz w porze zimowej całymi stadkami na naszych wodach. Kaczka ta utkwiła specyalnie w pamięci mojej, bo o mało życiem nie przypłaciłem krwi chciwych zamiarów względem tego samojedy. W roku 1884, na łąkach zarosłych pomiędzy Dniestrem i Wereszycą, usiadło na odparzeli stadko tych kaczek. Załamawszy się niezliczone razy i nabrawszy pełne cholewy wody, byłem już niemal u kresu i zwolna do strzału się zabierałem, gdy naraz huk jak z armaty dał się słyszeć od strony przeciwnej, a śrót ogarnął mnie niemal, szeleszcząc po gałązkach zarośli, wśród których stałem. Kaczki uniosły się w bok, unikając niebezpieczeństwa, jakie im z mojej rury grozić mogło. I cóż się stało? Oto równocześnie ze mną podjął podobną i w tym samym celu wyprawę chłop z sąsiedniej wioski i nie wiedząc, że znajduję się na prost strzału, „wygarnął“ do kaczek potężny nabój swej rusznicy. Lecz, że do kategoryi stworzeń, które Bóg strzeże, zaliczyć trzeba i myśliwego, wyszedłem nietknięty. Uradowany, że się tą razą udało, i w uznaniu wielkich myśli, które się zwykle w połowie drogi spotykają, wołałem na chłopa wystraszonego mym widokiem, chcąc z nim zakurzyć lulkę pokoju, — ale chłop był zanadto spłoszony i darł jak zając ku najbliższym płotom sioła.

Gągoł, kaczka krzykliwa *(Clangula glaucion)* zjawia się podczas wiosennych i jesiennych przelotów. Gnieździ się w krajach wysokiej północy. Kaczkę tę łatwo poznać nawet na wodzie, bo zanurza się, płynąc w miarę potrzeby, a nieraz tylko dziób nad powierzchnię wody wystawia. Pieczyste z niej jest prawie nie do użycia, jak w ogóle większej części kaczek nurzających się. Niemal wszystkie są płoche, a można je zdala odróżnić po upierzeniu bardzo gładko do ciała przylegającem i nie tworzącem nigdzie ostrych kończyn.

Bardzo rzadkimi zjawiskami u nas są kaczka astrahańska *(Casarca rutila)*, niemniej Ohar u Jundziła „Gęś norowa“ *(Vulpanser tadorna)*. Na Podolu ubito kaczkę białogłową *(Erismatura leucocephala)*, gnieżdżącą się w Europie południowej, a kaczkę strojną *(Anas galericulata)* dostrzeżono u nas w przelocie. (Dok. nast.)



ŁOŚ NA WABIA.

Czy znacie to polowanie? Jeżeli nie, to warte ono poznania; jeżeli tak, to pewien jestem, że iście myśliwska dusza rada będzie w myśli raz jeszcze przeżyć tę wzruszającą chwilę.

Było to 25 sierpnia — stary mój leśnik Apanas przychodzi do mnie wieczorem i z wyrzutem powiada:

— Chyba pan zapomniał, że już łosie dobrze się wabią?

— Prawda, trzeba jechać, a więc jutro czekajcie mnie o piątej w Kureniu na starym majdanie.*)

Opatrzyłem broń, a nie żegnając się z paniami (starzy myśliwi wiedzą, że pożegnanie nieszczęście przynosi) siadłem do bryczki i jazda do Hata.

Do wyznaczonego Kurenia dobrych wiorst 18 i to prawdziwej poleskiej drogi, po kępach i moczarach, po których żaden cywilizowany powóz, z możliwemi ulepszeniami i wiorsty w całości-by nie przebył.

*) Miejsce gdzie dawniej smołę pędzono.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy zbliżałem się do „puszczy“ (jak włościanie nazywają las), gdzie zastałem mojego Apanasa już w złym humorze, bo tracił widocznie nadzieję oglądania mnie na czas.

— No, panie, chodźmy prędzej, bo już wielki czas!

— Dobrze! Pójdziem prędzej, stary! — odpowiadam mu na to, i zarzuciwszy sztucer na plecy, ruszyliśmy.

Apanas szedł naprzód, i choć nie jeden lat dziesiatek stary ciąga się po puszczy, jednak ledwie go dopędzić mogę — tak mu pilno; dubeltówkę ma przewieszoną przez plecy, a w ręku trzyma wabik, który od czasu do czasu do ust przykłada i cichutko próbuje, jak artysta przed rozpoczęciem koncertu, gdy o biegłości swej chce się przekonać.

Do Trojana (tak się nazywa uroczysko, gdzie wabić mamy) wiorst ze trzy, to też suniemy prędko, to przechodząc przez ostrowy, pokryte gęstą trawą i dębami, to znów przez miejsca niskie, pokryte kępami, sięgającemi wyżej pasa, by potem przez gąszcza się przedzierać. A las tak cudny. Już jesień; osina nabrała koloru czerwonego i liście jej,

niby krople krwi, rozsiane po zielonej wstędze okalającej puszczę, gdzieniegdzie upstrzonej plamami zżółkłego klonu. Zachodzące słońce rzuca czerwonawe blaski, a blady, ale widoczny już księżyc w pełni zda się, wschodząc, łagodzić ostatnie podmuchy wiatru.

Las zaraz uśnie — przejdzie chwila i znów się obudzi. Z trudnością przedzieramy się przez posiew łozy i mamy przed sobą Trojan.

Wiosną Trojan przedstawia spore jezioro o fantastycznych konturach, otoczone murem lasu, w jesieni zaś woda ustępuje miejsca nadzwyczaj bujnej trawie i potężnym oczeretom, tym naszym bambusom, co przez jedno lato wyrastają na parę sążni, by zimą zginąć.

Słońce już tylko szczyty drzew pieści swemi promieniami... Jeszcze chwila... Już znikło, a gęsta para, podnosząc się z ziemi, zasłania widok cały, jak kurtyna, gdy dekoracya ma się zmieniać.

Tymczasem Apanas, pozostawiając mnie wśród kęp, sam się cofnął o paręset kroków i zaczyna wabić: słyszę łamanie gałęzi łozy i silne poruszanie ich, tak, aby daleko mógł dojść szelest — to łosza się wyciera o gałęzie — po chwili pada pierwszy odgłos: „Ua... ua... ua...a...“ z trąbki, skręconej z kory brzozowej, która do wabienia służy.

Cicho... Tak cicho, że aż mimowolnie dreszcz przebiega; teraz już księżyc świeci na dobre, a potoki srebrnego światła padają na las, na trawy i oczerety i oświecając pokrywającą je rosę, zamieniają ją na miliardy iskrzących brylantów. Tuman znikł... Apanas od czasu do czasu odzywa się wabiem — ja, rozmarzony cudnym widokiem, cały oddaję się uczuciu niewypowiedzianej roskoszy, gdy wtem, jakby śmiech szatański, rozlega się za mojemi uszami szydercze „Hu, huuuuuu...“ Było to hasło; naraz cały las zaczyna się śmiać, a śmieje się jakoś niemiło; jakby bolesna nuta daje się czuć w tym śmiechu. I ja się uśmiechnąłem z doznanego wrażenia — wszak to tylko puszczyki obudziły się ze snu dziennego i dają hasło duchom nocy, że ich pora nastała...

Czy mi się zdało, czy?... Nie — wyraźnie słyszę: „Ua... a...“ Tak, łoś się odezwał, ale gdzieś bardzo daleko, gdzieś aż od rządowego lasu, o wiorst 4—5. Widocznie jednak nasz wab doszedł do niego, bo słychać jego odpowiedź, coraz to w innem miejscu — stara się widocznie zoryentować, skąd łosza go wzywa.

O! już wie! Teraz prosto do nas sadzi, a musi pędzić jak błyskawica, bo coraz to wyraźniej słychać „He — he, he...“ — Już dolatuje chrzest łamanych gałęzi, słychać, jak szeleszczą rozstępujące się krzewy przed królem puszcz naszych. Tamuję oddech — nerwowo odwodzę kurki i ocieram rosę z luf, a cały we wzrok i słuch się zamieniam.

Apanas spuścił trąbkę ku ziemi, aby głos wydawał się dalszym, bo łoś ostrożny i pędzi tylko szybko, gdy wab daleki; blisko — obawia się zdrady lub rywala.

Coraz bliżej słychać sapanie łosia; ja przykląkłem i cisnę sztucer. Naraz zwierz stanął w gąszczu — nie widzę go, ale czuję jego bliskość; czuję, że mi serce uderza jak młotem, a w uszach tętni... Teraz chwila decydująca. Cicho, jak makiem zasiał, nawet sowy pomilkły — minuty wydają się wiekami. Pytanie: wyjdzie, czy nie wyjdzie? — tak męczy umysł, jak gracza, gdy oczekuje rychło-li karta na prawo lub na lewo padnie.

Tu Apanas mistrzowstwo swe okazał, dając czas łosiowi zniecierpliwić się. Naraz zawabił tak cicho, że tylko ucho stęsknionego kochanka mogło głos ten pochwycić — ale udało się. Łoś jednym potężnym susem stanął pośród oczeretów. Śliczny rogacz! A na rogach, jak przystało weselnikowi, wieniec zieleni — dar puszczy. Głowa podniesiona dumnie do góry, rozdęte chrapy z buchającą z nich parą, wysmukłe kształty, wszystko to naraz w fantastycznem świetle księżyca objąłem zachwyconym wzrokiem. Ale zachwyt trwał sekundę.

Już rurki się podnoszą, już oko po nich biegnie, szukając miejsca wrażliwszego na kulę i ręka nie drży. To nie myśliwy patrzy teraz na łosia, lecz strzelec.

Pociągnąłem za cyngiel, rozległ się huk i odbijając się o drzewa, jak fala, to rosnąc, to słabnąc, znikł w oddali; dym z prochu, niby mała chmurka, stał nieporuszony, zasłaniając mi widok. Poskoczyłem naprzód i widzę biednego łosia, leżącego o kroków 30. Raz jeszcze podniósł głowę, jakby z wyrzutem, że go zdradziłem, potem głowa ta opadła bezwładnie, a tym ruchem wstrząśnięte oczerety zachwiały się i stoczyło się kilka kropel rosy, jak łzy dyamentowe.

S. Wańkowicz.

KORESPONDENCYE.

Olejów w kwietniu 1891.

(Z toku słonek).

Ciąg słonek w Olejowie, w tym sławnym przesmyku przelotu słonek, był tak nędzny, że zupełnie z nagonką polować nie warto było. Ledwie w każdym rewirze po dwie lub jednej słonce straż leśna raportowała. Lecz ponieważ w jednym rewirze — w którym z powodu licznego stanu sarn, nie pozwoliłem chodzić po zapustach, aby kotnych łanek nie płoszyć — także kilka słonek na ciągu widziano, przeto wybrałem się na ten ciąg, o $1^1/_2$ mili od Olejowa odległy, wierzchem, z powodu niewidzianie złych dróg.

Zawczasu przyszedłem na miejsce, gdzie wczoraj słonki ciągnęły i siadłem na pniaku. Prześliczny był to wieczór wiosenny; cały las o zachodzie słońca rozbrzmiewał wesołym śpiewem raszek, płochaczy, drozdów i kosów, muszki brzęczały, beknął rogacz, gdzieś w oddali lis szczeknął, dwa zające zajadle goniąc się, przebiegły mi po pod nogi, nie widząc ani mnie, ani psa w swej miłosnej gonitwie — naraz wszystko ucichło, jakby pod jednym akordem kapelmistrza.

Stary pobereżnik, stojący koło mnie, a mający wprawniejsze ucho, jak ów dziki Indyanin z puszczy, rzekł półgłosem: „Panie, jedna się zerwała i już idzie, niech pan słucha“. I długo natężałem słuch, aż doszło do mnie to miłe chrapanie podwójne, potem lekki świst, krótki, i długo wśród tej ciszy wieczornej lubowałem się tym śpiewem tego ptaka myśliwskiego, nim go zobaczyłem. Przeleciała dalej odemnie, strzelić nie mogłem!

Nagle z przeciwnej strony kilka naraz takich chrapnięć „chrap, chrap, pst! chrap, chrap, pst!“ usłyszałem. Pobereżnik rzekł do mnie: „Panie, te dwie razem ciągną, niech pan uważa, i to wprost na nas“. Uważnie się rozglądam,

aby zrobić dubletę, lecz o dziwo, to nie dwie słonki, ale cztery, ciągną mi nad głową, ciągle chrapiąc. Chciałem już strzelić, lecz widząc, że to całe wesele — źle mówię, turniej o narzeczoną — odłożyłem strzelbę, wiedząc, że coś ciekawego zobaczę. Jakoż cztery te słonki stanęły mi w powietrzu nad głową. Jedna z nich, zdaje się ta, o którą walka się toczyła, nie wydawała z siebie głosu: „chrap, chrap“ lecz tylko „pst, pst“ delikatne i leciała trochę na uboczu; tamte zaś trzy, prawdopodobnie samce, wydawały głośne „chrap, chrap“ i zawzięcie się dzióbami biły, tak, że pierze w powietrzu leciało. Stały mi nad głową dobrą minutę, ciągle się biły chrapiąc i trzepiąc skrzydłami, potem nieco odleciały i znowu stanęły w powietrzu. Nareszcie najpierw jeden samiec, zdaje się silnie uderzony, spuścił się całkiem nisko i zniknął mi w krzakach; pozostałe dwa biły się jeszcze przez chwilę, jeden gonił drugiego i znowu słabszy spuścił się i skrył mi się między wierzchołkami drzew. Zwycięsca wesoło i głośniej chrapnął dwa razy, podleciał do samicy, która przez cały czas walki w koło latała, wzbiły się w górę nieco, skrzydłami i dzióbem zbliżyły się do siebie, wołając cicho „pst, pst“ i uleciały w przeciwną stronę, aby noc całą przebyć, a może i życie całe w małżeńskiej miłości i zgodzie.

To tok słonek, pomyślałem, i ocknąłem się z wrażenia, przypomniawszy sobie, że mam strzelbę w ręku i przyjechałem na ciąg słonek, lecz ani zwycięscy nie śmiałem zgładzić, ani jego kochanki, która wybrała najmężniejszego z walczących. *Aleksander Wodzicki.*

Litwinów 7. kwietnia.

(Zamiast słonki — locha).

Pospieszam podzielić się z czytelnikami „Łowca“ zdarzeniem, jakie miałem 6. kwietnia br.

Wieczorem pojechałem jednokonką, tarantasem, z małym chłopakiem na ciąg słonek, a że wcześnie wyjechałem, a droga w lesie wązka i zła, zostawiłem mój wehikuł i poszedłem pieszo dalej w towarzystwie doga angielskiego, dużego psiska słabej bardzo inteligencyi.

Mając czasu dosyć zapuściłem się w odległe lasy, a wybrawszy sobie odpowiedne miejsce w młodym zapuście bukowym, oczekuję rychłego ciągu słonek.

Niestety, tegoroczna wiosna, kapryśna i zimna, nietylko rolnikom, ale całej przyrodzie nie sprzyja. To też smutno było w lesie, umilkły ptaszęta, nie słyszałem śpiewu drozda, ani fletowego świstu kosa — a zamiast słyszeć miłe chrapanie słonek, patrzyłem na cicho polatujący śnieg.

Ziębnięty, znudzony niepowodzeniem wracam dobrym zmrokiem do domu. Po drodze przechodziłem przeszłoroczny czysty zrąb. Wtem zaszczekał mój dog, a równocześnie słyszę silne fuknięcie. Nie namyślając się długo wsuwam nabój z kulą do mojej lankastrówki i patrzę, a psisko co tchu ucieka ku mnie, a tuż za nim sunie dzik najeżony. Nie dalej jak na 20 kroków szczęśliwym strzałem, bo ciemno było, zrulował na miejscu.

Sprowadziłem jednokonkę, z wielkim trudem wysadziliśmy dzika — i zamiast słonki przy troku przywiozłem olbrzymią lochę. *E. Lityński.*

Kolbuszowa w marcu 1891.

(Rogacz rumakiem, a borsuk szkodnikiem.)

Nie wiem z jakiego powodu i na jakiej właściwie podstawie utrzymuje się jeszcze tu i ówdzie mniemanie, że każdy dobry myśliwy musi być zarazem łgarzem znakomitym. To nie prawda!

Czyli i jak dalece to niekorzystne mniemanie licowało z prawdą dawniej, kiedy to ludzie hołdowali jeszcze zasadzie: wierzyć a nie badać — nie jestem w stanie orzec. Ale dziś, wobec ogólnego przejęcia się zasadą: wprzód zbadać, a potem dopiero wierzyć, mniemanie owo wydaje mi się z gruntu mylne i niewłaściwe. Przekonałem się bowiem nie raz, lecz najmniej ze sto razy, że tegocześni, prawdziwi myśliwi, opowiadając przy nadarzonej sposobności epizody z łowów różnego rodzaju, byli zawsze prawdomowni, bez względu na to, czy opowiadali w kółku komilitonów, czy też w gronie ludzi nie wtajemniczonych w arkana łowiectwa.

Co spowodowało ludzi do wydania takiej opinii o myśliwych, orzec trudno; można tylko przypuszczać, że wywołały ją opowiadania niezwykłych, wyjątkowych, na pozór nawet nieprawdopodobnych, a mimo to najzupełniej prawdziwych zdarzeń.

Do takich nieprawdopodobieństw zaliczyłby bez wątpienia każdy także ten wypadek, że myśliwy, w braku osiodłanego rumaka, wsiadł oklep na rogacza i galopował po śniegu. Ja sam kręciłbym niedowierzająco głową, gdybym tego na własne oczy nie widział. A oto jak się rzecz miała:

W dniu 19. stycznia b. r. polowano w kilka strzelb w Cmolasie. Obszar lasu tam nie wielki, ale za to knieja ślicznie podszyta i dzięki sąsiedztwu pana Zdzisława hr. Tyszkiewicza, obfitująca w zwierzynę płową. W jednym miocie, mającym kształt trójkąta, ustawił nas gospodarz polowania na stanowiskach w ten sposób, że pan N. stał na jednej, a ja na drugiej przyprostokątni, tak, żeśmy wprawdzie wiedzieli, gdzie każdy z nas stał, ale wzajemnie widzieć się nie mogliśmy. Były to stanowiska bardzo dogodne, ponieważ mogliśmy obaj, bez obawy wzajemnego postrzelenia się, równocześnie na linii strzelać.

Zaledwie nagonka się odezwała, wydało mi się, jakoby coś w miocie, wprost naprzeciw mnie, po za krzakiem mignęło i za drugim krzakiem znikło. Przypuszczając, że to „gawiędnik“ (nazwa zająca u ludu w okolicy Białej i Oświęcima) za krzakiem zakołkował, wpatrzyłem się w to miejsce i już mi się przywidywać zaczynało, że zając w sypkim, do pół metra sięgającym śniegu całkiem się zanurzył i wystawił tylko słuchy do góry. Podczas tych kilku chwil, kiedy się w ten do zająca podobny przedmiot wpatrywałem, padł strzał na stanowisku mojego sąsiada pana N. Oderwałem więc wzrok od mniemanego zająca i spojrzałem na linię. Nie spostrzegłszy jednak nic, zacząłem patrzeć przed siebie ponownie w miot. Za chwilę wszakże usłyszałem na linii przy końcu owego trójkąta leśnego trzask, podobny do tego, jaki wydają dwa kije, uderzone jeden o drugi. Zwróciłem więc oczy znowu w tamtą stronę i teraz dopiero obaczyłem, już po za miotem, w odległości 40 do 50 kroków od mojego stanowiska, wysterczające ze śniegu trzy sarnie cewki, czyli jak lud prosty zowie: „patyki“, które szybko powietrze przecinając, uderzały czasem jedna o drugą i wydawały trzask wyżej określony. Obaczywszy te sarnie nogi, domyśliłem się, że pan N. danym przed chwilą strzałem zwalił kozła; ten zaś z dymem padłszy, zanurzył się w śniegu. Co prawda, zadziwiło mię nieco, że kozioł wysunął się z miotu tak cicho, iż żadnego szelestu nie słyszałem, ale stojąc sam po kolana w śniegu, wytłumaczyłem sobie natychmiast, że ogromna warstwa sypkiego, suchego śniegu umożliwiła rogaczowi tak ciche wymykanie się z miotu. Ponieważ rogacz prawie ciągle cewkami wywijał, więc od chwili do chwili patrzyłem się ku niemu w zamiarze strzelenia doń, gdyby się jeszcze podniósł.

Toż samo i p. N. uważał snać za potrzebne kozła dobić, gdyż zbliżywszy się do niego, przyłożył już strzelbę do twarzy. Lecz w tym właśnie momencie, rogacz się uspokoił, więc pan N. zarzucił strzelbę na plecy i zbliżył się jeszcze bardziej do rogacza, tak, że go niemal ręką mógł ująć. Jako stary i doświadczony myśliwy, stanął wprawdzie prawidłowo, tuż koło głowy rogacza, ale następnie popełnił błąd, który mógł sprowadzić bardzo poważne następstwa. Wiadomo ogólnie, że rogacz w ostatniej walce przedśmiertnej wyrzuca cewkami tak silnie, iż skoro dosięgnie nogi człowieka, silnie ją może uszkodzić, a nawet złamać. Nie można przeto pod żadnym warunkiem zbliżać się do postrzelonego kozła od strony, w którą cewki jego są skierowane, tylko zawsze od strony grzbietu, a najlepiej głowy.

Tym razem obeszło się wprawdzie bez wypadku, ale zato skończyło się na komicznym skoku. Gdy bowiem p. N., dobywszy myśliwskiego noża „knikera“, na rogaczu przyklęknął, ten rzucił się nagle z taką siłą, iż wraz z przygniatającym go ciężarem podniósł się do góry i stanął na trzech cewkach (czwarta była zgruchotana). Pan N. znalazł się więc oklep na grzbiecie rogacza, jak na koniu. A ponieważ rogacz nie był okiełzany, więc pan N. w braku tręzli, uchwycił go za szyję, a ścisnąwszy mocno kolanami, dodał, jak się zdaje, bodźca do skoku co najmniej na sążeń. Jednak pokazało się, iż pan N., mimo, że wybornie konia dosiada, nie nawykł jeszcze do jazdy wierzchem na rogaczach, gdyż przy pierwszym skoku tego nowego rumaka, siedział już na śniegu, zaznaczając jedynie swój upadek silnym, gdzieś aż z głębi płuc wychodzącym okrzykiem zdziwienia: „umh!“ Rogacz natomiast, pozbywszy się jeźdźca, naszczurzył łyżki, niby nasłuchując, a następnie pomknął na sztych wprost na moje stanowisko.

Patrząc na to osłupiałem w pierwszej chwili, lecz wnet wróciłem do równowagi i złożyłem się do strzału, lecz niestety nie mogłem strzelić, gdyż w prostej linii po za rogaczem, gramolił się ze śniegu pan N. Skoczyłem tedy ze stanowiska na bok, aby wziąć rogacza na cel w linii ukośnej, ale próżno, gdyż zwierz, spostrzegłszy moje poruszenie, skoczył także w bok, do miotu, i w tej chwili zwaliwszy się z nóg, znikł ponownie w głębokim śniegu. Przez niejaki czas nie dawał znowu żadnego znaku życia, a tymczasem pan N., sapiąc mocno i brnąc w śniegu po kolana, zbliżał się ponownie ku rogaczowi. Gdy się doń zbliżył, powtórzyła się poprzednia scena. Rogacz wyskoczył jak z procy, a pan N. stał bezradny i zdumiony. Teraz nie mogłem już powstrzymać się od śmiechu, chcąc wszakże zakończyć tę, tak dla pana N., jakoteż i rogacza, nie bardzo miłą zabawkę, podbiegłem kilka kroków w miot i złożyłem się lecz i tym razem musiałem strzału zaniechać, bo zaledwie przyłożyłem strzelbę do oka, już rogacz padł znowu, w głęboki śnieg się zarywszy. Za chwilę zjawił się i pan N. przy nim, już bez noża, tylko ze strzelbą w rękach, gotowy do strzału. Atoli i tym razem nie został jeszcze rogacz na miejscu; dawszy susa, znikł znowu za pobliskim krzakiem. Zacietrzewiony pan N. podążył za nim, ja zaś wróciłem na stanowisko.

Nie wiem już ile razy opisana scena jeszcze się powtórzyła; dopiero może za minutę wystrzelił pan N. Byłem pewny, że kozła już dobił. Ale jakże się zdziwiłem, gdy w kilka minut później, usłyszałem hałas nagonki, a następnie bicie kijami; pod nimi to dopiero wydał ostatnie tchnienie biedny rogacz, którego pan N. tak niefortunnie dosiadał.

Gdy wreszcie wyniesiono rogacza na linię, przywlókł się za naganiaczami i pan N., spocony, jakby dopiero co z łaźni wyszedł. A gdyśmy go chórem przywitali: „Jeździec na rogaczu niech żyje!“ — odpowiedział: „Pfu! a to co? Trzydzieści i pięć lat poluję, a jeszcze mi się coś podobnego nie zdarzyło“...

I my też wszyscy, w tem polowaniu udział biorący, dziwiliśmy się niezmiernie, szczególnie z tego względu, że rogacz miał zgruchotaną jedną przednią cewkę, a prócz tego był jeszcze trafiony w samą komorę. Jednak mimo tak ciężkiego postrzału zdołał udźwignąć na sobie nie bardzo wątłego i więcej, niż średniego wzrostu mężczyznę. Czyliż to nie dziwne?

Sprowadziwszy przed forum szanownych panów myśliwych rumaka z rogami, wyciągam jeszcze przed ich trybunał drugie nie mniej ciekawe zwierzę, pobożnego na pozór pustelnika — borsuka, a rzucam się na jego dobrą, acz nie zasłużoną sławę dlatego, że nie wszyscy jeszcze myśliwi chcą wierzyć w jego pociąg do kreofagii.

Nie mogę wprawdzie pochlebić sobie, że ja pierwszy jestem tym, który wywleka borsuka z jamy, ażeby go zdemaskować. Zasługa w tym względzie należy się innym, którzy go podpatrywali, a nawet zdobyli się na tyle śmiałości, że wdarli się do jego apartamentów, z których umeblowania starali się osądzić jego sposób życia. Znam wprawdzie i ja budowę jego krużganków, znam jego zachowanie się na powierzchni ziemi, wiem, że jest tchórzem, że zmyka, chociażby go zaatakował jeden tylko pies. Wszelakoż na pochwałę jego odwagi muszę dodać, że tylko tak długo ucieka, jak długo nie dopadnie krzaka, lub grubego drzewa. Lecz skoro tylko uda mu się oprzeć zad o grube drzewo, lub wsunąć w środek gęstego krzaka, wtedy w jednej chwili znika gdzieś tchórz borsuk, a na to miejsce powstaje przed psem, niby z ziemi wyrosła, istna twierdza, okolona palisadami długich, zakrzywionych pazurów i najeżona lasem ostrych zębów.

Tem jednak, jak dalece wyrządza borsuk szkodę w gospodarstwie łowieckiem, poszczycić się nie mogę i pozostawiam to innym. W tym celu ośmielam się przytoczyć ustęp z listu pisanego do mnie przez dzierżawcę dóbr pana Nikodema Obrębskiego w Przewodowie. Jest on nie tyle myśliwym, ile raczej sławnym rolnikiem, co mu jednak nie przeszkadza pielęgnować zwierzynę, czynić obserwacye nad nią, zajmować się racyą jej bytu i od czasu do czasu zapolować na nią. Oto co mi pisze o polowaniu na borsuki.

„W październiku i listopadzie, kiedy borsuki już są tłuste, rozpoczyna się interesujące polowanie w ten sposób, że myśliwy idzie naprzód sam, lub prowadzony przez człowieka, który znając w lesie wszystkie jamy, oprowadza myśliwego w celu poznania, czyli i które jamy są przez borsuka zamieszkałe. Poznaje się to przez odnowienie jam t. j., że ziemia z jam świeżo jest wygarnięta i rów do jamy wydeptany. W takim razie jest w jamie borsuk i można do niej na pewne jamniki puszczać. Jamy należy koniecznie poprzód zbadać, czy jest borsuk, gdyż psy, puszczone do jamy, gdzie borsuka nie ma, kopią stare powalone jamy, męczą się i wiele czasu mitrężą, a potem w jamie, gdzie jest borsuk, niechęcą się i żle go trzymają.

Otóż puściwszy psy do jam, znanych już z bytności borsuka, należy pilnie i uważnie nadsłuchiwać, gdzie psy będą naszczekiwały. Dokładne skonstatowanie tej okoliczności uwieńczy polowanie dobrym i prędkim skutkiem — gdyż wykopanie jednej jamy, czyli „skrzyni“ formy podługowatej, około 2 metrów długiej a na metr szerokiej, wykopanej wprost pionowo tam, gdzie słychać szczekanie psa, doprowadza zwykle w parę kwadransów do psów t. j. do przekroju jamy, gdzie psy na borsuka szczekają. Należy wtedy uważać

by psa nie skaleczyć. Jeśli borsuk jest nie daleko, np. metr lub $1^1/_2$ metra od wykopanej skrzyni, to nie trzeba ruszać psa atakującego, lecz spód skrzyni rozszerzyć w kierunku jamy do borsuka, by go wygodnie wziąć można. Jeśliby się wykopało skrzynię w miejscu pomiędzy psem a borsukiem, to należy się spieszyć, by borsuk nie ruszył wprost na psa, bo pokaleczyłby go i uciekłby dalej do jamy, tak, że wykopana skrzynia zostałaby nieużyteczna. Jeśli się skrzynię wykopie dobrze, t. j. wprost na psa, wtedy należy zabić z tyłu po za psem jamę zupełnie, aby borsuk tamtędy nie uciekł, psa zaś ze skrzyni wysadzić a borsuka wyciągnąć za pomocą haka żelaznego, mającego formę haczka u wędki. Gdy się tym hakiem borsuka szturknie, on chwyta mordą za hak, a wtedy zahacza się go jak szczupaka za szczękę i wyciąga na wierzch. Ale dwóch ludzi musi ciągnąć, bo jeden nie da rady. Oprócz tego potrzeba motyką ziemię z pod niego wygartywać, bo tak silnie się zapiera, że bez tego i dwóch chłopów nie wyciągnęłoby go z jamy. Gdy go się wyciągnie na skrzynię, potrzeba go zaraz widłami żelaznemi za kark do ziemi przydusić i mordę silnym szpagatem związać, dając w zęby kawałek patyka by się nie udusił, następnie związać nogi i do worka.

Jeśliby się trafiło, że dwa lub całe gniazdo borsuków się wykopie, każdego za porządkiem tak brać należy. Żywego borsuka na drugi dzień puszcza się dla zaprawy psów, ale ze związaną mordą, a to dla tego, gdyż inaczej psa mocnoby pokaleczył, bo jak złapie psa w swoje zęby, to często się trafia, że potrzeba aż zęby rozważać, by psa wydobyć z nich. Puszczanie żywego borsuka szczególnie jest dobre do zaprawienia młodych psów, tak jamników jakoteż kundysów, z którymi poluje się w nocy na borsuki, żerujące po polach.

Czasem psy, poszedłszy do jamy, długo się nie odzywają. Znak to, że borsuk się zakopał, czyli w swojem legowisku od strony jamy wychodowej zabił się ziemią. Psy muszą naówczas ziemię odkopać, i dopiero potem atakują go i szczekają. Jeśli jamy idą w głąb na dwa lub trzy metry, to ledwie będzie można zasłyszeć głuchy odgłos szczekania. Wtedy należy dobrze uważać, gdzie kopać skrzynię, bo jak się źle zmiarkuje, to trafi się na borsuka, a nie na psy, i potrzeba potem drugą skrzynię kopać.

Borsuk jest najsłabszy w nosie i głowie powyżej oczu. Silne uderzenie w nos odurza go, a uderzenie powyżej ócz, zabija. Borsuk przez lato robi szkodę w lesie, gdyż wyjada młode zajączki, gniazda ptaków na ziemi się gnieżdżących, wyjada także jaja i młode ptaki a nawet stare ptaki, siedzące na jajach. Lecz robi on i dobrego wiele, gdyż wyjada węże, gadziny i różne inne płazy, robactwo, a w jesieni żywi się prawie wyłącznie żukami. Trafia się czasem dokopać gdzieś w kącie jamy jego wychodki, a w nich mnóstwo szczątków źle przetrawionych żuków".

Przytaczając powyższy list o sposobie żywienia się, szkodnictwie i łowieniu borsuka, nie miałem i nie mam bynajmniej zamiaru głosować za bezwzględnem tegoż tępieniem. Owszem, niech żyje choćby dla urozmaicenia fauny krajowej. Że zaś mimo wszelkiej tolerancyi dla tego chytrego pustelnika, uznałem za stosowne odkryć jego brzydkie nawyczki, uczyniłem to jedynie dlatego, iż tak, jak dobry żołnierz nigdy wodza nie opuszcza i wszystko mu raportuje, tak i ja składam raport szanownej Redakcji „Łowca" o tym niedołędze, który nie mogąc schwytać starego, stara się cichaczem przycupić i zgładzić ze świata, nowonarodzonego „gawiędnika".

Seweryn Kisielewski.

Z powiatu wielickiego d. 20. kwietnia.

(Do ustawy łowieckiej.)

Nowa ustawa łowiecka zainteresowała cały ogół myśliwych, każdy podaje swoje uwagi i zapatrywania. Niech też i mnie wolno będzie zrobić maleńką uwagę, nad którą wartałoby się zastanowić.

Każdemu z braci myśliwych wiadomo, jak dotkliwe szkody wyrządzają nam kłusownicy w zwierzostanie i tak dość szczupłym w naszej zachodniej Galicyi. Pomimo żandarmeryi, pomimo straży łowieckiej, kwitnie miejscami kłusownictwo na wielką skalę.

Najważniejszą przyczyną, zachętą i podporą kłusownictwa, jest nadzwyczajna łatwość zbytu kradzionej zwierzyny.

Prawie wszystkie sklepy w miastach, a bezwarunkowo wszyscy przekupnie drobiu, przekupki i żydzi, wykupują zwierzynę, nie pytając się skąd i czyja. A ileż to zwierzyny wszelkiego rodzaju spotyka się na jarmarkach w górach? Pytasz się skąd? Każdy ci odpowie: „Co ci do tego?", lub się w inny sposób wykręci. Żandarmerya zaś dość opieszale podobną rzecz traktuje, udając, że zwierzyny nie widzi. A zwykle tak się dzieje, że przekupnie mają swoich kłusowników, a ci bez pytania przynoszą zwierzynę do przekupniów. Są wsi w powiecie naszym, w których ludność trudni się handlem drobiu. Otóż ci handlarze wychodzą często do swoich znajomych kłusowników i zakupują przed jarmarkiem, co się ze zwierzyny nawinie i o każdej porze.

Mój projekt przeto jest, aby:

1) Każda sztuka zwierzyny, idąca w handel czy żywa, czy zabita, miała paszport, tak samo jak to się dzieje z bydłem i trzodą, idącą w handel. O ileż to więcej w kraju jest bydła i trzody, niż zwierzyny, a ludzie się przyzwyczaili i wszystko idzie jak należy, gdyż władza czuwa nad tem. Dlaczegożby więc tego samego nie przestrzegać przy zwierzynie?

Do bydła trzeba oglądacza i wójta, tu wystawiałby paszport sam właściciel lub dzierżawca prawa polowania, a wójt lub przełożony obszaru dworskiego potwierdzałby takowy. Wystarczyłoby na razie, aby właściciel lub dzierżawca wystawiał paszport, ale jeden podpis mógłby ktoś łatwiej naśladować itp.

Zresztą możnaby odpowiedni kwitaryusz sznurowy (i paszporta) drukowane zaprowadzić, chociażby z tego jakaś opłata rządowa czy krajowa przypadła (przypuśćmy do wójta za potwierdzenie paszportu, jak obecnie z oglądaczem).

Każdy tu powie: „Nowy bicz na nas myśliwych!" Ale zastanowiwszy się nad tem, lepiej przyjąć już na siebie ten trud napisania paszportu, a mieć tę pewność, że przynajmniej 50% kłusowników ubędzie, gdyż nie mając zbytu na kradzioną zwierzynę, łapać lub strzelać takowej nie będą, bo jeść chłop zwierzyny zazwyczaj nie lubi.

Prócz tego muszą być unormowane surowe kary, tak na sprzedających, a jeszcze większe na kupujących bez paszportu, a wszystkie straże bezpieczeństwa i akcyzowe miejskie, powinnyby na te paszporta dawać baczność.

W ten tylko sposób możemy kłusownictwo wykorzenić i dojść do pewnych rezultatów.

Od czasu do czasu powinny być z c. k. starostwa przeprowadzane rewizye w większych składach zwierzyny, celem przepatrzenia, stosownie do ilości zwierzyny, odpowiednich paszportów.

Zagranicą i u nas w niektórych większych skarbach zawsze piszą podobne paszporty. Dlaczegożby więc nie mo-

żna tego wprowadzić w ustawę, jako obowiązujące dla wszystkich?

Sam jestem myśliwym i mam kilka tysięcy morgów polowania, podaję jednak ten projekt, uważając go za konieczny w naszych warunkach.

2) Drugi mój wniosek jest, aby wymóc od rządu ograniczenie sprzedaży prochu i śrótu. Dziś każdy niedorostek dostanie nawet za kilka centów prochu, prócz tego po wszystkich małych miasteczkach, wprawdzie pokryjomu, ale u żydów w sklepikach, nawet na wsiach, można dostać prochu. Ani taki żyd, ani kupujący nie ma prawa posiadania prochu, a przecież jeden sprzedaje, a drugi kupuje.

Należałoby zatem ściśle przestrzegać, aby tylko ci proch sprzedawali, którzy mają na to pozwolenie, a następnie, aby kupujący wykazał się co najmniej kartą na broń, a właściwie legitymacyą, iż posiada prawo polowania. *W. M.*



KRONIKA.

Ustawy łowieckie i rybackie. Wyszedł świeżo 25 tom znanego zbioru ustaw, wydawanego przez Manza, zawierający zestawienie wszystkich w Austryi obowiązujących państwowych zarówno jak krajowych ustaw o łowiectwie, ochronie ptaków i ryb. Do ustaw dodano też rozporządzenia rządowe, w znacznej części dotychczas nie publikowane w dzienniku ustaw państwa, jakoteż dotyczące orzeczenia najwyższego trybunału. Dla wszystkich amatorów łowów, ptaszników, rybaków książka ta będzie nieodzownie potrzebnym podręcznikiem. Dla łatwiejszego korzystania z bogatej treści dodano alfabetyczny indeks materyi i chronologiczny spis ustaw w miarę ich wydawania.

„Jeździec i myśliwy“. Pod tym tytułem poczęło wychodzić w Warszawie pismo, poświęcone sportowi jeździeckiemu i myśliwstwu. Pierwszy numer, wydany d. 3. kwietnia, zajmuje się przeważnie hodowlą koni i sprawami wyścigów. Fejletonik myśliwski p. t. „Łoś na wabia“ pozwoliliśmy sobie powtórzyć w całości w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Dwa niedźwiedzie ubito w Berezynie, na Litwie, w dobrach hr. Augusta Potockiego. Jednego ubił p. Czesław Hornowski, drugiego p. Wańkowicz.

Wilk wściekły w mieście. Dnia 18. kwietnia wieczorem wydarzył się w Sadogórze, tuż pod Czerniowcami, wypadek, który wygląda prawdziwie na bajkę i kto wie, czyli nie wyda się ludziom zamieszkałym w zachodnich krajach Europy poprostu — kaczką dziennikarską! Niestety, jest on równie okropny, jak prawdziwy!

Po godzinie ósmej wieczorem, w czasie ulewnego deszczu, pojawił się w wymienionem mieście wściekły wilk. Miasto Sadogóra, siedziba cudownego rabina, tworzy z gminami Żuczką i Rohozną jedną całość. Wilk, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyszedł z nadgranicznych lasów gr.-or. funduszu religijnego, zanim zjawił się w Sadogórze, przebiegł naprzód sioła Mahałę i Gogolinę i tam, jak stwierdzono, pokaleczył kilka psów i świń, a podobno także bydło rogate.

W Sadogórze rzucił się naprzód na chłopa, który pracował obok stogu siana i ukąsił go w twarz, poczem z niesłychaną szybkością popędził dalej. Wpadł do koszar dragonów aż przed kuchnię i tu skaleczył dragona Padurę. Żołnierz, opadnięty znienacka, nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co zaszło, i zanim oprzytomniał, zwierza już nie było. Tak biegł dalej i w krótkim przeciągu czasu przebiegł Rohozną, Żuczkę i całe miasteczko Sadogórę, wszędzie kalecząc przechodniów. Jednym z pierwszych pokąsanych był chałupnik Oleksa Zwaricz. Sądził on, że to pies pewnego oficera dragonów, pobiegł więc zaraz do właściciela rzekomego psa, aby się użalić. Tam jednak przekonał się, iż pies jest w domu i wcale nie wybiegał. Wtedy Zwaricz — zawsze jeszcze przekonany, iż napastnikiem był jakiś pies — uzbroił się w widły od nawozu i czatował przed chałupą. Wilk tymczasem przebiegłszy wszystkie prawie ulice, zawrócił znowu i nadbiegł na Zwaricza. Odważny wieśniak rzucił się nań i widłami przydusił go do ziemi a tymczasem już zbiegli się ludzie i kijami dobili wściekłą bestyę.

Deszcz ulewny był szczęśliwym powodem, iż na ulicach miasta niewielu znajdowało się przechodniów, mimo to jednak wilk pokąsał ogółem t r z y d z i e ś c i p i ę ć o s ó b. Wpadał on na każdego znienacka stawał na zadnich łapach i zębami chwytał za policzek, lub szyję, a ukąszenia były straszne, bo wyrywał całe kawały ciała. Jednemu, z przechodniów odkąsił nos. Raz ukąsiwszy, nie pozostawał dłużej, lecz w jednej chwili znikał dalej, aby znowu opaść inną ofiarę. Wieśniacy, silniejsi i przytomni, natychmiast oryentowali się w niebezpieczeństwie i gwałtownym ruchem rąk odpychali bestyę. Ci przeto na twarzach są przeważnie tylko podrapani pazurami. a pokąsani są po rękach. Natomiast kobiety i żydzi odnieśli przerażające rany.

Pomiędzy ofiarami okropnego wypadku znajduje się także profesor wszechnicy czerniowieckiej dr. Józef Strobel. Bawił on na wycieczce w Sadogórze i tego dnia o godz. 8 wieczorem wybrał się właśnie z powrotem do Czerniowiec. Na mieście chciał wziąć fiakra, lecz gdy ten żądał więcej, aniżeli dać chciał dr. Strobel, postanowił nieszczęśliwy profesor iść pieszo. Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, gdy obok budynku rabina, skoczył nań wilk, którego wziął za psa. Bestya ukąsiła go w szyję pod lewą szczęką. Strobel chwycił go lewą ręką za pysk i odtrącił, przyczem jednak skaleczył sobie palec o ząb zwierza. Wilk dalej nie napastował i odbiegł ku miastu.

Nazajutrz przed południem wyjechał do Sadogóry starosta w towarzystwie lekarza powiatowego, dra Kasprzyckiego, a popołudniu prezydent kraju, hr. Pace, protomedyk dr. Kluczenko i weterynarz krajowy p. Nedwed. Poczęto zbierać pokaleczonych, z których pewną liczbę już opatrzyli miejscowi lekarze i przewieziono ich do szpitala krajowego w Czerniowcach. Dragona Padurę oddano szpitalowi wojskowemu, a dr. Strobol pozostał chwilowo w domu znajomych w Sadogórze.

W szpitalu krajowym powierzono 26 chorych opiece prymaryusza, dra Załozieckiego. Wszyscy odnieśli uszkodzenia na twarzy. a niektórzy mają okropnie rozdarte czoła, wargi i policzki. Między skaleczonymi znajduje się 6 dzieci, 3 kobiety, 7 żydów i 10 chłopów. Jeden z włościan ma nos oderwany całkowicie aż do nasady, a oprócz tego głęboką ranę od pazurów na lewym policzku. Jeden z żydów ma kompletnie wygryziony prawy policzek aż do kości, oraz głęboką ranę od pazurów w policzku lewym.

U wszystkich powyższych chorych przedsięwziął dr. Załoziecki natychmiastowe wypalenie ran paquelinem. Ból, jaki przy tej operacyi musieli znieść pacyenci, nie da się wysłowić, a jednak bardzo wielu nawet nie krzyknęło z bolu. Stojąc i w milczeniu pozwalali piec okropnie wszystkie rany, byle jeno uzyskać nadzieję ocalenia się przed straszliwą śmiercią. Pełne trzy godziny żarząca się platyna nurzała się w odkrytych, głębokich ranach, a atmosfera, jaka panowała przez ten czas w sali, gdzie na 26 chorych kolejno odbywano tę straszną operacyę. zaledwo pozwalała oddechać operującym lekarzom! Był to, jakby obraz średniowiecznej izby torturowej, jeno oczywiście na tle innem, bo tutaj nie gniew, ale prawdziwe poświęcenie się i miłość bliźniego kierowały dłonią lekarza.

Z pomiędzy powyższych 26 osób wysłano zaraz w niedzielę pociągiem pospiesznym 17 do Bukaresztu, gdzie jest specyalny zakład, leczący metodą Pasteura.

Zabitego wilka sekcyonował weterynarz krajowy p. Nedwed. Czaszka zwierza była tak straszliwie roztrzaskaną kijami, że mózgu nie można już było zbadać należycie, co właśnie dla stanowczego orzeczenia jest najważniejszem. Było to zwierzę, mające około 2 lat, silnie zbudowane, samica. W żołądku znaleziono pokarm, między innymi wątrobę z gęsi, co wskazuje, że bestya nie była głodną. Wszystko zresztą zdaje się przemawiać za wścieklizną.

Co do zwierząt, to liczba pokąsanych nie da się stwierdzić. W poniedziałek zabito w Sadogórze wołu, który zdradzał oznaki wścieklizny, a w Toporowcach owcę.

Rząd krajowy polecił wybić wszystkie psy i koty w okolicy Sadogóry.

Można było przypuszczać, że wilk wściekły, który się pojawił w Sadogórze, nie jest jedynym, lecz musi gdzieś mieć towarzyszów. Istotnie też już we wtorek rano pojawił się przy rogatce w Dolnych Szerowcach za Sadogórą wilk, który podszedł aż pod zabudowania. Dopiero gromada chłopów z drągami zdołała go odpędzić. Tegoż dnia dwa wilki wędrowały tuż pod wsią Czerniawką, a jednego znowu widziano nad brzegami Prutu, gdy biegł w kierunku lasu raranieckiego. Wysłano natychmiast z Żuczki trzech żandarmów i szwadron dragonów ku Szerowcom, oraz zarządzono w okolicy częste patrolowanie.

Odbyto wreszcie dnia 29. kwietnia na wielką skalę obławy w całej dolinie Prutu, a to przy pomocy wojska.

Duży odyniec, tj. prawdziwy, dziki odyniec, ważący 200 kilogramów, a nie dzik zwierzyńcowy, został d. 23. z. m. ubitym w lasach Klein-Mariazell, należących do Lasu Wiedeńskiego w Niższej Austryi. Ponieważ dziki dawno tam już zostały wytępione i nikt o nich w całej okolicy nie słyszał, musiał rzeczony odyniec zapędzić się tam z odległych borów Węgier lub Galicyi.

Piśmienny odyniec. Ze styczniowego polowania w Staszowskich dobrach hr. Andrzeja Potockiego, na którem, jak wiadomo, padło 37 dzików, donoszą o następującym wybornym żarciku myśliwskim:

Ostatniego dnia hr. S., stojąc na stanowisku, spostrzegł dzika, zdążającego wprost ku niemu. Przypuściwszy go na strzał, zabił na miejscu. Zbliżając się do zabitego dzika, zdziwił się bardzo, zobaczywszy, iż ma on na szyi uwiązany list. Zdziwienie było jeszcze większe, gdy dostrzegł, że list adresowany do niego i to na tem stanowisku, na którem stał obecnie. Rozpieczętował więc list i odczytał co następuje:

„Jaśnie wielmożny hrabio! Ponieważ zabiłeś mego ojca, matkę i innych szanownych członków mojej rodziny, więc ogarnęła mię rozpacz i widzę, że nie mam po co żyć już na świecie. Wskutek tego postanowiłem odebrać sobie życie, idę więc prosto na ciebie, abyś mnie zabił. Zanoszę tylko prośbę o celny strzał abym się długo nie męczył. Odyniec-samobójca".

Gdy miot się skończył i myśliwi się zeszli, śmiechy i żarty zapanowały ogólne. Przygodę wyjaśniono tak: W cukrowni w Rytwianach chowano młodego dzika, którego zobaczywszy hr. Br., towarzysząca łowom, uplanowała zrobić jednemu z myśliwych powyższego figla, a zwierzywszy się ze swego planu łowczemu, znalazła w nim poparcie. Otóż napisawszy list, zawiązano go dzikowi na szyi, a ponieważ w roku bieżącym śniegi były bardzo wielkie, więc łowczy wydeptał ścieżkę prosto do stanowiska, na którem miał stać hrabia S. Przed naganką puszczono dzika na ścieżkę; postraszony dobrze kijem, przyszedł udeptaną ścieżką na przeznaczone miejsce i padł od celnego strzału.

Zuchwały rabuś. Na Bukowinie, w siole Briaza wpadł dnia 26 marca w biały dzień wilk na podwórze włościanina Wołowczuka i porwał 3-letnie tegoż dziecko. Ojciec w tejże chwili chwycił pistolet i pobiegł za drapieżcem, strzelając za nim napróżno. Wilk tuż pod lasem upuścił zdobycz i umknął, ojciec zaś pochwycił skrwawione dziecię, któremu na szczęście, oprócz kilku okaleczeń, nie grożących śmiercią, nic się zresztą nie stało.

Samodzielność psa. W Paryżu, przed kilkunastu dniami, dokonał włóczęgowskiego, lecz od wielu lat z dziwną regularnością prowadzonego żywota pies, będący szczególnym okazem psiej samodzielności. Cały Paryż znał go: był on duży, biały, z czarnymi pręgami nad oczyma. Od pręgów tych zwano go *Tape-a-l'oeil*. Skąd się wziął na bruku paryzkim, ani on sam, ani nikt nie umiał powiedzieć; przysięgają się tylko niektórzy, że już za cesarstwa go widywali, co znaczy, iż byłby to pies ogromnie stary.

W Paryżu psa błąkającego się samopas każdy przywłaszczyć sobie może, a „przekonanego" o włóczęgowstwo stróżo porządku zabijają bez miłosierdzia. *Tape-a-l'oeil* nie dał się przecież ani przywłaszczyć, ani zabić, a władza, stwierdziwszy jego tożsamość, przekonawszy się, że to jest istotnie *Tape-a-l'oeil*, uczyniła dlań wyjątek i tolerowała jego przechadzki i wycieczki, ile że zawsze był stateczny i jak pamięcią sięgnąć, *Tape-a-l'oeil* trzymał się zawsze przykładnie, awantur nie robił i jak najmniej z innymi kundlami się zadawał.

Tape-a-l'oeil doszedł do przekonania, że najlepiej pana nie mieć; żadnego też nie uznawał. Rano, przed śniadaniem, nieodmiennie odbywał promenadę hygieniczną na Polach elizejskich dobiegając nieraz do lasku Bulońskiego — miał tam widać jakieś wspomnienia. Punktualnie o 12ej już był u Duvala, pod kościołem św. Magdaleny. Tu jadł co raczył, był bowiem wybredny. Stąd do „Café Anglais" nie tak już daleko, więc też około drugiej tam wachlował dokoła stolików, z których sypały się dlań okruchy pasztetów. Potem dopiero udawał się do „Café de la Paix" albo do „Américain", zależnie od tego, gdzie znalazł więcej znajomych. Tu raczono go cukrem moczonym w kawie lub koniaku, co rozumie się, w dobry humor pieska wprawiało. Wieczorem ta sama historya; obiad w jednej z pierwszych restauracyj i cukier z kawą lub koniakiem. Pewien Anglik pragnął, jak mówią, nauczyć psa cygara palić, do tego jednak nie dał się *Tape-a-l'oeil* nakłonić.

Miał cztery domostwa, w których sypiał: hotel Terminus, du Louvre, Grand Hôtel i Orient. Wszędzie miał kąt i w kącie siennik. Jeżeli się zabałamucił gdzie, a zdarzało się to czasami po nadmiernej libacyi cukru... z koniakiem, łapą drapał i szczekał przed bramą. Portyer zawsze mu otworzył, tak był powszechnie tolerowany i lubiany.

Osioł jako wirtuoz na wiolonczeli, to przecież rzecz niezwykła nawet w naszym wieku ekscentryczności. Wirtuoza takiego podziwiać można w Eden-Théâtre w Paryżu. Produkują tam od pewnego czasu znakomicie wytresowanego, jedynego w swoim rodzaju osiołka, który wjeżdża na scenę z fotelem ustrojonym kwiatami, siada w nim, dostaje wiolonczelę, którą trzyma trojgiem kopyt, a ująwszy czwartem smyk, poczyna rżnąć od ucha, kiwając w takt głową. Wprawdzie koncertu Goltermana nie gra jeszcze ten obywatel dardanelski, lecz paryżanie delektują się granem w ten sposób „Ave Maria" Gounoda.

W menażeryi na placu „de la Nation" w Paryżu rozegrała się niedawno temu przerażająca scena. Pewien robotnik założył się z kolegami, że pogłaska przez kratę lwa — i po chwili wykonał swój zamiar. W tej chwili pochwycił lew rękę nieszczęśliwego i pociągnął ku sobie. Zanim dozorcy nadbiegli i ocalili współżywego, straszny król pustyni odgryzł mu prawe ramię.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.